Nr. 38. Lwów, Niedziela dnia 19. Września 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** złr. **60** cnt. półrocznie **8** złr. **80** cnt. kwartalnie **4** złr. **40** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **28** m. półrocznie **14** m. kwartalnie **7** m.
NA PROWINCJI:
Rocznie **32** m. półrocznie **16** m. kwartalnie **8** m.

LUŹNE UWAGI.

XXXVIII.

O STRONNICTWIE POSTĘPOWEM.

Przed dwoma miesiącami mówiliśmy na tem miejscu o naszej arystokracji, należącej do obozu zachowawczego, a tydzień temu poświęciliśmy kilka uwag stronnictwu ultramontańskiemu. Poczucie bezstronności nakazuje nam rzucić teraz okiem na obóz postępowy.

Odkąd narody zaczęły myśleć o sobie, i w części ograniczyły władzę tych, którzy przedtem samowładnie niemi rządzili, okazała się potrzeba utworzenia stronnictwa, któreby pracując zdobywało myśli mogące społeczeństwo naprzód popchnąć, i równocześnie w czyn je wprowadzało. Stronnictwo, które sobie taki cel wytyka, nazywa się postępowem.

W epoce rządów absolutnych, Galicja nie miała obozu postępowego we właściwem znaczeniu tego wyrazu. Wtedy mieliśmy tylko konserwatystów, trzymających z rządem, i rewolucjonistów usiłujących obalić istniejący porządek rzeczy. Gdy atoli przed piętnastu laty stosunki nasze zmieniły się na lepsze, wybitniejsze osobistości z obozu rewolucjonistów postrzegłszy, że odtąd nie o przewrót już chodzi, ale o pracę, mogącą utrwalić to co jest, a zdobyć to, czego jeszcze potrzeba, utworzyły natychmiast zastęp umiarkowano-postępowy, który wziął sobie za zadanie tak naród podnosić, aby on rozwijał się prawidłowo, tj. zgodnie z biegiem współczesnej cywilizacji.

Nowy ten obóz był z początku bardzo nieliczny. Mieliśmy wodzów bez żołnierzy. Z biegiem czasu jednak myśli przez jednostki rzucone zaczęły się przyjmować, i tak powstało stronnictwo, w którego skład weszła większość inteligencji miejskiej, i prawie cała szlachta na wsi mieszkająca, bo ta, jakkolwiek przez konserwatystów bałamucona, nie przestawszy być patrjotyczną, zawsze to czyni, co dla kraju może być pożytecznem. Był więc czas, że mieliśmy wodzów i żołnierzy. Ale nie trwało to długo. Okoliczności zrządziły, że wskutek najrozmaitszych wypadków wodzowie usunęli się z widowni. Pozostali tylko żołnierze, liczniejsi jak przed piętnastu laty, a l e s a m i. Po utracie wodzów, nastąpiła dezercja. Nie jeden nie czując spójni, łączącej go z resztą stronnictwa, i wątpiąc, by zastęp pozbawiony kierownictwa mógł zdziałać co dobrego, zaciągnął się do innego obozu. Skutek tego bezkrólewia jest ten, że stronnictwo postępowe ma dziś mniej członków, jak przed laty dziesięciu. Co więcej, obóz cały jest rozbity, najzupełniejsza anarchja panuje w jego łonie, a pozostali członkowie bądź apatycznie powtarzają: „Nic się nie zrobi!“ bądź działają na własną rękę.

Jeżeli tak jest, winę należy przypisać nie komu innemu, tylko samemu stronnictwu. Popatrzmy w czem złe leży.

W żadnym obozie zawiść małoduszna nie odgrywa takiej roli jak w postępowym. Zaciągając szeregowców, stronnictwo postępowe dba więcej o liczbę jak o jakość, i dla tego jest przepełnione wszelkiego rodzaju miernościami, z których każda pragnie rządzić a żadna nie chce słuchać. Nic niebezpieczniejszego jak powiedzieć człowiekowi ambitnemu a miernych zdolności, że na szerszej widowni może pewną rolę odegrać. Natychmiast zacznie pozować i gwałtem innym się narzucać, równocześnie podkopując tych, którzy obdarzeni większą siłą charakteru i wybitniejszemi zdolnościami mogliby nierównie stosowniej zająć pierwsze miejsce. Zaledwie w stronnictwie postępowem pojawi się jaka osobistość, która przez innych poparta mogłaby stanąć u steru, a zaraz powstaje tłum zawistnych, aby ją zepchnąć, a jeżeli się uda nawet zdeptać. I wtedy radość w obozie — jak między dziećmi.

Inaczej postępują stronnictwa przeciwne postępowemu. Tamte, szanując każdą zdolność wybitniejszą, z dumą koło niej się grupują, i tak zaprowadzają u siebie karność, która jest ich siłą. Konserwatyści i ultramontanie nie przestają być wierni hasłu: Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!

Zawiść jest zatem powodem, że postępowi są pozbawieni kierownictwa i organizacji.

Ale może nam powiedzą, że dziś, po tylu doświadczeniach, zawiść nimi już nie kieruje, że każdy z nich wyparłby się własnej ambicji, gdyby się pojawiła jednostka, mogąca stanąć na czele— ale takiej niestety nie ma. Tego twierdzenia nie możemy uznać za słuszne. Gdyby tak było, musielibyśmy chyba zwątpić o całym narodzie. Jak to, więc w prowincji pięciomiljonowej nie ma jednego człowieka, obok którego stronnictwo mogłoby się ugrupować? Przypuśćmy jednak, że nie ma takiej jednostki, to czyż obóz już się tem usprawiedliwił? W braku jednego człowieka trzeba stworzyć korporację z kilku, i ci kilku działając zgodnie, niech jednego zastąpią. Woli więc, dobrej woli tylko, mniej pozy i zawiści, a to co dziś wydaje się niemożliwem, jutro stanie się czynem.

Dopóki na czele stronnictwa postępowego nie ujrzymy jednego człowieka, lub kilku razem, dopóty się ono nie uorganizuje i nie rozpocznie pożytecznej działalności na większą skalę. Chcemy atoli wierzyć, że ten stan rozbicia i bezrobocia jest tylko przejściowy, i że obóz, który bądź co bądź w organizmie swoim ma jeszcze najwięcej sił żywotnych, w czas się opamięta i pomyśli o swojej organizacji. Jeślibyśmy zapytali, co dobrego uczynili dla kraju nasi konserwatyści i ultramontanie w ubiegłym lat dziesiątku, rachunek nie wypadłby zadowalająco. Oto dali nam kilka kolei żelaznych, kilka banków, kilka towarzystw religijnych i prowadzili naszą politykę. Czy kraj na tem skorzystał? Postępowi natomiast, jakkolwiek nie uorganizowani i działając pojedyńczo, na własną rękę, zbudowali tak pożyteczne Towarzystwa jak „Pedagogiczne“ i „Pracy kobiet“ utworzyli kilkadziesiąt „Kas zaliczkowych“ i kilkadziesiąt ochotniczych „Straży ogniowych“; wprowadzili w życie „Gwiazdę“ lwowską i tyle jej podobnych stowarzyszeń rzemieślniczych na prowincji, wreszcie zebrali znaczniejszą sumę na cele oświaty ludu i kupili *Unję* dla kraju. Budżet dziesięcioletni wprawdzie nie wielki, ale w porównaniu z budżetami obozów przeciwnych, olbrzymi. Jeżeli więc pojedyczy członkowie tego stronnictwa, działając bez komendy i na własną rękę, mogli wprowadzić w życie tyle instytucyj

zbawiennych, to czegoż nie dokaże stronnictwo całe, jeżeli się dobrze uorganizuje?

O tej organizacji, która będzie możliwą, gdy będzie kierownictwo, niech pomyśli jak najprędzej, gdyż każda godzina stracona pociąga za sobą straty nieobliczone.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach,

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

IV.

Pospieszmy na drugą stronę dworu zaskalskiego, zamieszkałą przez Kostusię i ciocię, zanim tam przyjdzie rozromansowany sprawnik, byśmy obie panie pierwej poznali.

I po tej stronie domu, chociaż obszerniejszej, bo od ogrodu przytykała do ślicznego ogrodowego przybudowania, z otwartą na ogród galerją i obszerną oranżerją, przystrojenie wewnętrzne po większej części nie było nowożytne. Sprzęty były wykwintniejsze, ale nie było owych rzniętych i dętych a krótkotrwałych, na oko jeno wyrachowanych sprzęcików, w których zwykle skórka wyprawy niewarta. Panowała tam wytworność prawdziwej wartości, trwałych i okazałych wyrobów z drzewa i obić kosztowniejszych, w których przeważała prawdziwa wygoda i ten smak poważny o formach okazałych, jakiemi się odznaczał koniec wieku osiemnastego. Wdzięku, świeżości i młodości niejako dodawały dobrze dobrane i miłe oku barwy, a mianowicie kwiaty, których tam wszędzie było pełno. Jedyną nowością wieku naszego, był w salonie głównym fortepjan doskonały francuski, przy którym zastajemy siedzącą Kostusię w sukience białej. Ręce jej spoczywały jeszcze na klawiszach, drżących jeszcze ostatnim akordem, a twarz jej i spojrzenie zwrócone były do cioci, przechadzającej się z nadzwyczajną żywością w rannym fałdzistym szarafanie o barwach najrozmaitszych i najjaskrawszych.

Ciocia Genowefa, czyli ciocia Giefia, jak ją w okolicy i w całym domu nazywano, była to sobie pani słuszna, okazała, kręcąca się ruchem wiecznego niepokoju, którego siedziba była nie tylko w jej rękach i nogach, ale i w głowie, bezustannie zmiennemi myślami zaprzątnionej. O jej wieku tyle tylko umiałbym powiedzieć, że inaczej o nim mówiła metryka, a inaczej wcale sama ciocia utrzymywała. Metryka mówiła o latach pięćdziesięciu z czubkiem nawet. Ciocia przyznawała się do trzydziestówki, a w samym środku stało pozorne wyglądanie, na kunszcie toaletowym ugruntowane. Ruchliwość i kapryśne głowy usposobienie przemawiało prawie za wiekiem dziecięcym.

Pan marszałek, którego już wspominaliśmy, i który miewał czasem dowcip, mianowicie gdy mu się udało francuską wprowadzić konwersację, mówił o ruchliwości cioci:

— *Elle a la vivacité d'une puce!...*

I rzeczywiście ruchy jej przypominały często skoki pchły.

W ogóle usposobienie całe cioci było usposobieniem staropanieńskiem. Miała bowiem wszystkie narowy, fantazje, humor starej panny, aż do żółtych chusteczek nawet, które nosiła chętnie dla lepszego odbijania płci ciemno-żółto-wątrobianej. Wydawała się starą panną, chociaż była wdową najzupełniejszą, i to wdową po trzech mężach, których pamięć, ciągle przez nią sławiona, nie przeszkadzała jej wzdychać za czwartym mężem. Po mężu ostatnim zwała się Wieluńską, ale kazała się zawsze nazywać po wtórym mężu, szambelanową. Owdowiawszy od lat juz blisko dwudziestu, bo miała — nie wiem jak to nazwać — szczęście czy nieszczęście, talent czy przeznaczenie, że wszyscy trzej mężowie zmierali po krótkiem bardzo pożyciu małżeńskiem, osiadła w Zaskalu u pana rotmistrza, którego żony była daleką krewną. Nie było tygodnia, a przynajmniej miesiąca, w którymby nie powtarzała:

— Muszę wrócić do siebie.

To do siebie stanowiło dziewięć dymów, jakie po ostatnim mężu posiadała na Polesiu, niedaleko Owrucza. Te dziewięć dymów, przypadłych jej z eksdywizji większego majątku, rozszarpanego przez kredytorów, były już także obciążone hypotekami, że ze wszystkich dziewięciu dymów, ledwie dym, ale prawdziwy dym jej własnością pozostał.

— Lecz żal mi Kostusi, którą wychowałam — dodawała zwykle.

To wychowanie było po większej części figurą retoryczną, bo pan Kazimierz wziąwszy ciocię, nie mającą utrzymania, do siebie, jak najmocniej pilnował aby się nie wdawała do wychowania Kostusi, którem kierował po większej części sam z pomocą guwernantki Polki, panny Franciszki, pełnej zalet serca i głowy, którą mu się udało w Warszawie wynaleźć, i która przed rokiem dopiero umarła.

Wychowanie szambelanowej ograniczało się tem, że od roku, mianowicie po śmierci guwernantki, powtarzała jej na dzień razy ze trzydzieści, że cały rozum panny na tem zależy, aby się podobać i głupim mężczyznom głowy zawracać.

— Ja mam na sobie dowód — dodawała tu zawsze — za mną szaleli wszyscy i niech będzie między nami, szaleją dotąd.

Po tej przemowie następowały dzieje bajeczne ciocinego życia niknące w mgle wyobraźni.

— Celem panny ostatnim... — mówiła dalej — jest pójść zamąż dobrze.

Dobrze zaś pójść za mąż, tłumaczyła mężem bogatym, dobrze urodzonym i salonowym. Salonowość, to był u szambelanowej szczyt wszelkiej doskonałości.

I w tej chwili właśnie gdy wchodzimy do salonu, szambelanowa tak się rozgadała o salonowości, szastając się po pokoju, że nawet zapomniała, że już dawno minęła godzina, w której zwykła zasiadać do kilkugodzinnej toalety. Dawno zaprawdę się jej nie trafiło, by o tej godzinie była jeszcze w papilotach z żółto-chusteczkową przewiązką.

— Człowiek salonowy, uważasz moja Kostusiu, jest człowiek europejski!... a na tem głównie zależy!...

— Ależ moja ciociu!.. cóż mi tam do człowieka europejskiego? — odpowiedziała Kostusia z pustym uśmiechem i swawolnem spojrzeniem. — Jam nie europejska dziewczyna, ja polska dziewczyna!...

— To są staroświeckie pryncypia.

— A ciocia nie Polka?

— *C'est de la bêtise!...* jak mówił mój nieboszczyk szambelan. Ja jestem europejska kobieta!... Ja do salonu należę.

— A ja nie!... jak ciocię kocham!... ani troszkę nie należę do salonu!...

— Bredzisz, *mon enfant!...* Panna Szóstacka z Gradowskiej urodzona, z majątkiem kochanego rotmistrza, który, niech będzie między nami, ma grube kapitały. Ty moja Kostusiu jesteś sama *crême* salonu. I dla tego ci powiadam, że z pomiędzy najsalonowszych najwięcej salonowym jest Artur!

— Mój kuzynek, Artur!... — przemówiła z pewnym uśmiechem Kostusia, i uderzyła w klawisze dosyć gwałtownym akordem. — Masz ciociu słuszność, to europejski człowiek.

— Był kamerjunkrem!... żył na świecie petersburskim... Car go odznaczał... i był ulubieńcem Adlerbergów!... jest jedynakiem i po śmierci marszałka będzie ogromnie bogaty, bo marszałek to finansowa głowa!...

— Cóż mnie do jego majątku!...

— On ciebie kocha.

— Artur kocha!... kocha!... kocha!...

Zaczęła żartobliwie, a powtarzając to słowo, dla młodego serca tak wielkie mające znaczenie, wpadła w niejakie zamyślenie.

— Kocha!... — powtórzyła, i klawisz lekko palcem poruszony, zadrżał tonem niepewnym, któremu towarzyszyło w pół przytłumione westchnienie.

— A przecież dla ciebie od kilku miesięcy przybrał nawet kontusz polski.

— A serce czy wsadził sobie w piersi polskie?

— *C'est de la bêtise!...* jak mówił mój nieboszczyk szambelan.

— Wszystko w nim salonowe!...

— I serce europejskie!... — przerwała znowu Kostusia, i zwróciwszy na ciocię oczy, błyszczące uroczym jakiejś wyższej myśli wyrazem, dobyła z klawiszów kilka akordów szopenowskiego mazura.

Śliczną była w tej chwili Kostusia. Tyle już jest po powieściach opisanych pięknych bohaterek, i ja sam tyle ich już opisałem, że się nie myślę w długie wdawać opisy. Są i dziś śliczne twarze, ale chcąc opisać twarz Kostusi, a przedewszystkiem cały wdzięk i wyraz jej twarzy, odwołać mi się chyba przyjdzie do wspomnień starszych pokoleń. Przed laty trzydziestu, ba nawet przed czterdziestu, zdybać można było częściej podobne twarze po dworkach szlacheckich naszych. Nie regularność rysów, nie jakaś tam klasyczność kształtów, nie przezroczystość płci, której w opisach pożyczyliśmy od francuskich romansistów, stanowiły ten cudny urok, pełen prostoty, slodyczy, pustoty i myśli razem, dobroci i energji razem, jakim się odznacza i pociąga serce polskie dziewczę!... cudne gdy się śmieje, jeszcze cu-

dniejsze, gdy płacze!... a najcudniejsze gdy się modli, a z serca, z oczów i z ust leje się modlitwa za rodzinę i kraj kochany!

Ten to właśnie wyraz, niczem nieokreślony — to też go martwe nie opisze słowo — bił jasno i promieniście z przeciągłej nieco twarzy pięknej Kostusi. Usta były może za wielkie dla wybrednego powieściarza, który swe bohaterki obdarza łaskawie małymi rumianych ust rąbkiem; ale z tych ust strzelał wyraz poczciwej anielskiej serdeczności, co nie przeszkadzało wcale, że gdy tego było potrzeba, uśmiech ulatywał zastąpiony wyrazem silnej i niezłomnej, bo w czystość własnego serca i własnej myśli zaufanej woli. Nad czołem wypukłem, dość przestronem by się po niem myśl przechodziła szlachetna, ciemne włosy, gładko uczesane, układały się wreszcie w dwa plecione warkocze, jakby koroną wieńczące dziewiczą głowę. A oczy miała tej barwy niepewnej zmiennej, wedle bijącego w nie światła od szafiru fjołkowego, aż do ciemnych promieni czarnego brylantu. We łzach rozczulenia tonące miały w rzeczy samej skromność fijołka, ale wyższem uczuciem podniesione miały błysk i hart brylantu.

Taka była śliczna Kostusia, poczciwe dziecię ziemi polskiej, w myśli polskiej, w uczuciu polskiem, w polskiej wierze i gotowości do poświęceń, w polskiej pieśni i polskiej modlitwie wychowane.

Są, żyją na ziemi naszej takie Polki!.. i to naszego rodu właściwość i ducha naszego hart żylasty, że nas chowa Polka matka!... i Polki bogdanki serce ku nam bije!... Gdyby było możliwem, żeby ostatni zaginął Polak... jeszczeby Polka została na ziemi naszej!...

— To jest mąż dla ciebie!... — zakonkludowała szambelanowa.

Kostusia nic nie odpowiedziała, po klawiszach tylko sypnęła czystemi tonami, gdyby perlista kaskada drobnych kropelek.

W tejże chwili wbiegła dziewczynka, zgrabnie z wiejska ubrana służąca.

— Pan sprawnik chce służyć panience.

— Ach! — krzyknęła przeraźliwie i piskliwie szambelanowa, porywając się za papiloty.

I wybiegła przerażona szambelanowa do zwierciadła toaletowego, bo sprawnik choć Moskal, był kawalerem, a kawalerowie byle tylko mogli wejść na salon, byli wedle cioci salonowcami, a więc europejskimi.

— Sprawnik do mnie?... — zapytała Kostusia z niejakiem zdziwieniem — może się mylisz, Olenko?

— Proszę panienki, powiedział, że go pan rotmistrz przysyła.

— Dziadzio przysyła? — przemówiła pół głosem do siebie. — Prosić! — dodała głośniej.

V.

Paweł Onufryjewicz wchodząc do Konstancji, przybrał wyraz uśmiechnięty: w ruchach swych miał coś skaczącego: oczy przymrużał do pół przymilania, a do pół pustoty. Przeważał mimo to zwykły ich wyraz przebiegłej przezorności, co go w tej chwili robiło wielce podobnym do skradającego się kota. Wszakże nawet idąc przez sień, na pazury moskiewskiego urzędnika wsadził salonowe rękawiczki.

Konstancja rzuciła na niego wzrokiem przelotnym, i nie zastanawiała się wcale nad jego powierzchownym wyrazem. Znając go od dawna, widziała w nim tylko urzędnika; pogardzała osobą, a nienawidziła jako Moskala. Bliższej z nim nie miała styczności, ani się też po prawdzie spodziewała, by ją kiedykolwiek mieć z nim mogła. W tej chwili przeważało w niej zdziwienie do pół ciekawości posunięte, bo w rzeczy samej zrozumieć nie mogła, co go do niej przyprowadzało.

Na mnogie ukłony pana sprawnika, i jego uśmiechy zalotne, krórymi starał się zwrócić jej uwagę, patrzała zupełnie obojętnie, nie wiedząc prawie, a co najpewniej nie rozumiejąc wcale.

— Dziadunio dobrodziej przysłał mnie do pany Konstancji — przemówił wreszcie szczerząc zęby, które miał potężne i ostre, prawdziwe moskiewskie zęby.

Konstancja nic nie odpowiedziała, czekając na dalszą przemowę.

— Dzień dobry pannie Konstancji, — mówił dalej pan sprawnik, który nie wiedział po prawdzie jak zacząć, a zimne i spokojne wejrzenie Kostusi mięszało go mimowolnie.

Więc dla lepszego kontynansu obliznąwszy się, co także należało do obyczajów moskiewskich pana sprawnika, wyciągnął rękę, aby schwycić białą, instynktowie usuwającą się rączkę Kostuni.

— Dzień dobry! — powtórzył i mimo oporu uchwycił za białą rączkę i obdarzył ją pocałunkiem głośnym.

Mimowolnie obrzydzenie ozwało się w dziewczynie, i mimowolnie obtarła ucałowaną rękę o białą sukienkę.

— Dzień dobry! — powiedział po raz trzeci, uśmiechnął się i oblizał jeszcze obleśniej.

W tej chwili wydał się Kostuni tak bardzo komicznym, że w młodej dziewczynie przeważyła pustota. Zaśmiała się szczerze i przemówiła:

— Więc dziadzio przysłał pana, aby mnie dzień dobry powiedzieć?...

— To, z czem dziadunio przysłał mnie do pani, jest ważne!...

— Słucham pana.

Paweł Onufryjewicz znalazł, że w tem miejscu najstosowniej będzie umieścić westchnienie. To też westchnął jak najpotężniej.

— Słucham pana! — powtórzyła Kostunia.

Paweł Onufryjewicz powtórzył westchnienie jeszcze potężniejsze i donośniejsze.

Scena w rzeczy samej była komiczna, pobudzająca do śmiechu, a przecież mimowolnie ozwał się w piersi Kostuni jakiś niepokój.

— Cóż dziadunio kazał mi powiedzieć?...

— Właściwie dziadunio upoważnił mnie... pozwolił mi... Ale to nie tak łatwo powiedzieć... bo widzi panna Konstancja...

Konstancja usunęła się mimowolnie przed wzrokiem, jaki w tej chwili wystrzelił z oczów sprawnika.

Zatrzymał się chwilę, potem zbierając cały zasób bezwstydności, którą go przyroda obdarzyła, zbliżył się do Kostuni szybkim krokiem, porwał za rękę, i ściskając ją nie chciał już puścić.

— Bo widzi panna Konstancja... Ja... was kocham!... śliczna Konstancjo!

Kostunia jeszcze nie zrozumiała. Jeszcze się jej prawda cała nie wyjaśniła... Spojrzała na mówiącego z nieudanem zdumieniem...

— Tak panno Konstancjo!... Ja was znam.... od tylego dziecka!... I Paweł Onufryjewicz patrzał się zawsze z upodobaniem na śliczną dziewczynkę, jak w jego oczach rosła i rosła jakby na drożdżach... A gdyście podrośli, i taka z was stała się hoża i śliczna dziewczyna; taka krasna kak cudo jakie!... taka krasawica!... Jej Bohu!... żebyście mogli na carskich stanąć pokojach między najpiękniejszemi baryniami!... tak ja was ukochał!... prekrasnaja Kostusiu!... i...

A przyciągnąwszy ją silnie ku sobie, dodał z iskrzącym wzrokiem i wyrazem namiętnym:

— Ja was kocham!... tak, ja was kocham!...

W panu sprawniku przemogła w tej chwili zwierzęcość zmysłowa, nad zwierzęcą dzikością moskiewskiego urzędnika. Jemu samemu się zdawało, że kocha Kostunię namiętną miłością...

Silnym ruchem wyrwała rękę i cofnęła się po za krzesło, o które się lekko oparła. Zmierzyła sprawnika od stóp do głowy, wyrazem takiej zimnej pogardy, że aż zębami zazgrzytał Paweł Onufryjewicz.

— Czy pan może co innego kochać prócz cara i pieniędzy?...

— Tak, panno Konstancjo!... mimo tej pogardy jaką mi okazujesz, kocham was!...

— Dziękuję panu! — odrzekła szyderczo — ale mojej wzajemności mieć pan nie będziesz...

— Kocham i proszę was o rękę! — wyrzekł kapitan sprawnik i zacisnął zęby.

— Więcej pan nie masz mi nic do powiedzenia?...

— Proszę o waszą rękę...

— Żegnam pana! — odrzekła z dumnym, pogardliwym ukłonem i zwróciła się do odejścia...

— Ja tu w imieniu dziadka waszego przychodzę!... który mnie do tego kroku upoważnił...

— Mój dziadzio wiedział dobrze, co ja panu odpowiem, i dla tego pozwolił panu przyjść z takiem oświadczeniem, które że się panu wyrwało... wyznam szczerze... dziwię się mocno.

Mówiąc to, nie odwróciła się nawet do niego i szła dalej ku drzwiom krokiem dumnym, królewskim na prawdę. Cudnie była piękną w tej chwili, ożywiona rumieńcem oburzenia, które blask jej oczów do błyskawic podobnem czyniło.

— A przecież chcecie czy nie chcecie, będziecie moją żoną!... — wykrzyknął sprawnik, ledwie już zdolny powstrzymać wściekły gniew, który nim miotał.

Konstancja nie odwróciła się i na to: zaśmiała się tylko śmiechem najwyższego szyderstwa i rzekła:

*

— Każcie się kurować! panie sprawniku!

— Tak to jest! wy każecie się mnie kurować!... Ja cię tu zaraz dumna Laszko wykuruję z twego śmiechu.... i z twej dumy, aż jedno i drugie zmienicie w płacz i pokorę..

W piersiach dziewczyny zadrżał ból; ale go niczem na zewnątrz nie zdradziła, i wolnym idąc krokiem już była koło drzwi.

— Albo będziecie moją żoną, albo stary rotmistrz pójdzie na Sybir!... w sołdaty!... w katorzne roboty!... słyszycie dumna Laszko?!...

Głos mówiącego drżał złością; zęby długie i ostre wysterczały z ust otwartych jak u zwierza dzikiego, pożreć ofiarę gotowego. I tylko zaśmiał się — już nie jak zwierzę!... i nie jak człowiek!... zaśmiał się jak Moskal prawdziwy. (C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

(Ciąg dalszy.)

III.

Na ulicy.

Dopiero siódma rano, a już wstawać trzeba. Okna mojej sypialni na południowy wschód obrócone, słońce dopieka, dokoła robi się duszna atmosfera. W zimie nie równie przyjemniej. Chociaż na kominek u mnie miejsca nie ma; chociaż scaldina z żarzącemi węglami nigdy przynosić nie każę; chociaż między dwoma oknami mam drzwi prowadzące na terasę, pośród której znajduje się studnia głęboka, mimo to ciepło mi zawsze i nawet kataru nie nabawiam się nigdy. W Bolonji wilgotna zima więcej mi dokuczała. Tam w auli uniwersyteckiej, mimo zapału, z jakim p. Francesco Fiorentino wykładał nam historję filozofji, odmroziłem nogi od marmurów; ale tu, we Florencji, zasłoniętej Apeninami od północy, zawsze ciepło — nawet gorąco.

Teraz naprzykład pocąc się pod prześcieradłem, mimo że na niebie maj dopiero, przychodzę do smutnego przekonania, że już wstawać trzeba. A jaka szkoda! Czyż jest pod słońcem co przyjemniejszego, jak to wygodne picie herbaty między 7 a 9 rano, gdy z dymem cygaretowym biegą myśli nie wracające do przeszłości, w której nie zostawiło się nic coby żal budziło, myśli usiłujące w zamglonej przyszłości odkryć choćby promień nadziei...

Wybiegam na ulicę. Hałas, rwetes, turkot, istne piekło Dantejskie.

Tu toczy się wózek przepełniony najrozmaitszemi jarzynami, których nazwę, zalety i cenę wykrzykuje drągal dwudziestoletni, spełniający obowiązek osła zaprzęgowego; za nim toczy się wózek drugi z fotografjami, mydełkami, nożykami i tysiącem innych rupieci, którego właściciel nie mniej silnym popisuje się głosem; dalej wędrowni przekupnie wiozą mięso, nabiał; za nimi powolnym już krokiem ciągnie brodaty cukiernik, sprzedający smażone owoce, których część trzyma w rękach na cieniutkich patyczkach, a większą połowę ma w koszu, wiszącym na piersiach; orszak zaś zamyka wózek wędrującego księgarza, który woła w niebogłosy:

— *Signori! Signogre! Il Decamerone di Boccaccio per dieci soldi!*

Mężczyzni zatrzymują się, aby potargować się chwilę, bo może księgarz z ceny co opuści, a panie uśmiechają się koralowemi usteczkami, nad któremi drobny zasiał się wąsik, bo przecież i one znają *Dekamerona...*

Wielkie szczęście dla mieszkańców, że targowica przejezdna znajduje się na każdej ulicy, bo rzadko która pospodyni miałaby odwagę udać się na właściwą targowicę miejską. Znajduje się ona zawsze na jakimś niewielkim placyku, wśród sieci wąskich i krętych uliczek, a zapachy, jakie tam panują, mogą zdenerwować najsilniejszy organizm. Pochodzi to ztąd, że ryba jest głównym artykułem włoskich targowic — a czy nieżywa ryba pachnie, o tem ponoś wszyscy wiecie. Zanim Dante zaczął pisać „Piekło", musiał przejść się kilka razy przez *Mercato vecchio* we Florencji. Ja tam byłem raz tylko, i do dziś mam dosyć tej przyjemności.

Srodkiem ulicy ciągnie tłum przechodniów, istne mrowisko. Włosi są wygodni, więc nie lubią chodników, na których bezustannie trzeba innych wymijać. Oni idą samym środkiem ulicy, a dorożki tak są do tego przyzwyczajone, że one przechodniom, a nie przechodnie im się ustępują. Każdy mężczyzna ma strój skromny i kapelusz w tył zasunięty; każda kobieta z ludu i z niższej warstwy mieszczańskiej ma ramiona i piersi do połowy obnażone. Im gorąco — więc się nie żenują.

Z powieści, których tyle napisano we wszystkich językach, wiecie zapewne jak włoska rasa wygląda, nie będę was zatem nudził jej opisem. Nadmienię tylko, że wszędzie na półwyspie widać rysy ostro markowane, które artysta prędko uchwyci. Są głowy piękne, pełne, o linjach szlachetnych, jak rzeźby starożytne — i suche, kościste, wywiędłe, jak głowy trzech Parek Buonarottego. Oko świeci czasem złowrogim ogniem wulkanu, ale najczęściej, mimo że duże i piękne w oprawie, patrzy przed siebie bezmyślnie. Takie oko spotkacie na całym Wschodzie. Im rasa cywilizacyjnie starsza, tem wybitniejsze rysy jej twarzy; praca ducha, ciągnąca się przez długie wieki, wyrabia ostre linje; im młodsza, tem mniej wybitny rysunek jej oblicza. Ludy, które zalały półwysep Apeniński, o ileż wieków nadciągnęły wcześniej i prędzej żyć zaczęły jak te, które osiedliły się na równinach środkowej i północnej Europy.

Wchodzę na główny plac. W tej samej chwili dwudziestu dziennikarskich kolporterów ze wszech stron mnie otacza. Ten wciska *Diritto*, drugi *Nazione*, trzeci *L'Opinione*, a ostatni domyślając się żem cudzoziemiec, gwałtem żąda bym kupił najświeższy numer francuskiej *L'Italie.* W prawdziwem jestem kłopocie, nie wiedząc które pismo wybrać. Z kłopotu jednak wybawia mnie chwilowo szesnastoletnia dziewczyna, która przebiwszy się przez tłum, podaje mi bukiecik kwiatów mówiąc:

— *Buon giorno, Signor!*

Ach, to nasza piękna Fioraja, że też ona mnie poznała! Ona zna każdego, każdemu poda bukiecik na długiej szypułce, od nikogo pieniędzy nie żąda, i każdego wita jak starego znajomego. Raz, drugi i trzeci weźmiesz kwiatki, potem przyjdzie ci na myśl, że takich grzeczności od biednej dziewczyny za darmo nie godzi się przyjmować — więc przy najbliższej sposobności dasz *lirę*, albo jeźliś bogaty *scuda*, poczem bez wyrzutu sumienia możesz cały miesiąc brać bukieciki. Jeźliś skąpy lub niedomyślny, nic ci nie powie; ale po kilku miesiącach, gdy będziesz stał w gronie znajomych, fioraja przybiegnie, wszystkim kwiatki wręczy, a ciebie ominie... Włoch sam nie lubi kwieciarek. Gdy która się zbliża, macha ręką zdaleka, wołając: *Grazie!* i co prędzej czmycha w inną ulicę. Kwiatki kosztują, a o pieniądze dziś trudno... Za to cudzoziemcy, między nimi głównie Anglicy, przynoszą każdego dnia wieczór całe snopy kwiatów i wstawiają je do wody, myśląc że są wieczne. Ale kwiaty fioraji, to jak jej miłość! Zerwane u samej główki i przymocowane nitką do sztucznej szypułki, jaśnieją dzień jeden — aby nazajutrz zwiędnąć!...

Wziąłem kwiatki, kupiłem dwa dzienniki i pobiegłem odwidzić jednego z lepszych znajomych.

— Nie ma pana Dolci — odpowiedziała mi dziewczyna, o twarzyczce pięknej jak starożytna kamea, stając w drzwiach na pół otwartych.

— A gdzieżbym go teraz mógł zastać? Mam pilny interes.

— Wszak to ósma, więc u balwierza.

Zapomniałem, że o tej godzinie każdy Włoch przyzwoity odwidza swego balwierza. Idzie on tam czasem by brodę ogolić, najczęściej zaś by znajomych zobaczyć i chwilę z nimi pogawędzić. Sklepy balwierzy to istne jaskinie. Czarne, okopcone, ponure. Dokoła stoją bądź ławki, bądź stołki, na nich siedzą goście codzienni. Jedni czytają dzienniki, drudzy piją czarną kawę, którą chłopcy przynoszą z pobliskiej kawiarni. Golarnia i kawiarnia w starych miastach włoskich, to bracia Siamscy. Nie raz się zdarzy, że właśnie gdy gość weźmie do rąk filiżankę, balwierz wzywa go by usiadł na krześle pośrodku izby, ponieważ przyszła kolej na jego brodę. Wezwany siada i podczas gdy cyrulik mydłem go naciera, on kawę popija. Dobrego apetytu!

Rozmówiwszy się z panem Dolci, skierowałem kroki ku pałacowi, w którym mieści się galerja obrazów. Nie ma większego miasta na półwyspie, żeby nie posiadało przynajmniej jednej galerji. Włosi jednak nie zwykli tam zaglądać. Gdy przyjechawszy do Bolonji zapytałem jednego z kolegów uniwersyteckich, czy piękną jest św. Cecylja, odpowiedział mi naiwnie:

— Jużci że musi być piękną, kiedy ją Raffael wymalował.

— To prawda, ale chciałem usłyszeć jak się tobie podobała?

— Jeszczem jej nie widział.

— Czy być może?

— Cóż w tem tak dziwnego? Przecież mamy ją w Bolonji, więc nie potrzebuję się spieszyć.

Tout comme chez nous.

W drodze do galerji mijałem jeden z większych kościołów. Na dole stał tłum gęsto zbity i słuchał. Na marmurowych wschodach leżało kilku obdartusów grzejących się na słońcu, a na stopniu najwyższym, na przeciw drzwi wchodowych świątyni, stał ślepiec z głową odkrytą i grał na skrzypcach. On ślepym się urodził, o nutach najmniejszego nie ma wyobrażenia, a mimo to w każdem pociągnięciu jego smyczka taka wprawa, w każdym tonie tyle uczucia, w całej grze tyle mistrzowstwa, że tłum słuchający oddech,

wstrzymuje aby jednego dźwięku nie uronić. Mówią że muzyka Wagnera piękna, że włoską świat się znudził. Być może, ale ja to potwierdzę dopiero wtedy, gdy Wagner pierwszą łzę wyciśnie, gdy zapał w tłumach obudzi. Dopóki to nie nastąpi, pierwszeństwo oddam muzyce Rossinich i Bellinich.

Ślepiec grał, rozlewając to skargę, to wspomnienie, to namiętność budząc—a tłum słuchał pilnie i w przerwach głośne bił oklaski. Gdy jednak skończył, a towarzysz jego wyciągnął kapelusz, Włosi rozpierzchli się na cztery wiatry. Zostali tylko cudzoziemcy, z których każdy rzucił po kilka soldów. Ślepca tego widywałem codzień wieczorem w restauracji. Podczas objadu grał nam całą godzinę. Raz, w chwili wypoczynku, zbliżyłem się doń na palcach i wziąłem smyczek, który oparł sobie o nogę. Kilka minut siedział bez ruchu z głową zwieszoną; nagle ocknął się wyciągając rękę ku miejscu, gdzie smyczek postawił. Zadrżał, twarz mu straszliwie pobladła — myślałem że zemdleje. Jam mu duszę odebrał! Gdym mu smyczek oddał, po rysach dziwna radość przebiegła, w obumarłej źrenicy błysło coś nakształt ognia, pochwycił skrzypce i zagrał pieśń tryumfu.

Iluż to Paganinich przygrywa pod kościołami i w lokandach włoskich!

Niopodal galerji widzę tłum nowy. W pośrodku stoi jakiś młody człowiek i deklamuje ustępy z *Orlando furioso*. Gawiedź słucha. Głos jego to donośny, to chrypliwy, oczy wirują w jamach, złowrogie rzucając błyski, ręce obracają się jak skrzydła wiatraka. Widocznie przyszedł do ustępu więcej namiętnego, bo nagle cofnął się w tył o trzy kroki, zacisnął pięść kościstą, pochylił głowę jak hiszpański byk podrażniony na arenie, a potem nagle rzucił się ku najbliżej stojącemu, pięścią w bok go uderzył, i z ostatniem słowem poematu na ustach, omdlał w ramionach poważnego Anglika, którego na ten cel oddawna sobie upatrzył. Śmiechy, okrzyki, brawa nagrodziły ludowego improwizatora i w tej samej chwili zrobiło się pusto. Włosi odeszli nie rzuciwszy grosza. Zostali tylko cudzoziemcy, z Anglikiem na czele, niewiedzącym co począć z fantem, który na rękach trzymał...

Skwar coraz większy — ulice już się wyludniły. Pozostali jeszcze, jak Włosi mówią, *forestieri e cani*—cudzoziemcy i psy. Dorożkarz, który dotąd zachowywał się spokojnie, domyślając się w tobie obcego, który przyjechawszy do Włoch aby wszystko zobaczyć, nie ma czasu na południowy odpoczynek, psyka poufale, podnosząc równocześnie batóg do góry. Ma to służyć za zapytanie, czy życzysz sobie by podjechał. Jeźli w odpowiedź podniesiesz palec do góry — podjedzie; jeżeli kilka razy machniesz nim w kierunku poziomym, odwróci głowę aby szukać nowego *Inglese*.

Po śniadaniu w najbliższej lokandzie, zkąd mnie wypędziły wrzaski grających w camorę, spieszę do galerji.

Przed pałacem zatrzymałem się chwilę, aby się przypatrzeć nowej rzeźbie z marmuru kararyjskiego, którą tego dnia ustawiono. Jak za skinieniem rószczki czarodziejskiej wysunął się natychmiast z za kolumny człowieczek niski i chudy, który zbliżywszy się począł opowiadać historję posągu. Poznawszy w nieznajomym cicerona, skinąłem ręką aby mówić pszestał i weszedłem pod arkady. Nie raz się zdarzy, że nieznający włoskich zwyczajów, bierze cicerona za zwyczajnego obywatela, który przez grzeczność objaśnia obraz lub rzeźbę. Jakież atoli zdziwienie cudzoziemca, gdy ów obywatel skończywszy wyciągnie rękę, popartą jednem tylko słowem:

— *Pagate!* (zapłać).

Cicerone jest nasieniem bardzo użytecznem, ale nieznośnem; zejdzie on tam, gdzieś go nie posiał, wciśnie się wszędzie, podsłuchuje co mówisz z drugiemi, miele językiem prawdziwie jak najęty, i mimo protestów, nie chce cię wypuścić ze swojej opieki. Chociaż sam Włoch, nie cierpi jednak swoich rodaków, bo ci nie płacą.

Dziś prześladuje mnie fatalizm! U samych drzwi wchodowych do galerji, rozłożyli się taborem dwaj historyczni przekupnie, jakich tylko we Włoszech możesz zobaczyć. Na dwóch stołach stoją pod portykiem dwa wielkie malowidła o strasznych kolorach i potwornych konturach, z których jedno ma przedstawiać Ugolina z synami, a drugie Franceskę da Rimini z kochankiem. Właściciele obrazów opowiadają zachrypniętym głosem bolesną historję obu tych postaci, a potem gwałtem wciskają ci broszury, w których te same historje są dosłownie drukiem powtórzone. Tego już za wiele — wpadam do galerji.

Jak tu cicho, jak chłodno. Po salach na oścież otwartych snują się nieliczne postacie, nic nie mówiąc. Najwięcej bladych Angielek w czyściutkich i króciutkich sukienkach, za któremi nadciąga z ryżemi bokobrodami poważny papa. Angielki podnoszą parosoliki, pokazując kolejno obrazy, a papa patrzy na obraz, odczytuje napis, podkreśla odpowiednie miejsce w *Baedekerze*, na znak że już to widział, i dalej ciągnie. Tak przejdą całą galerję, potem zjadą całe Włochy, podkreślą wszystkie słowa w *Baedekerze*, a wróciwszy na swoją wyspę, pokazywać będą znajomym książkę na dowód, że wszystko widzieli...

Przyrzekłem nie pisać o sztuce — dotrzymuję więc przyrzeczenia. Nie mogę atoli powstrzymać się od jednej uwagi, którą luźnie rzucam. W każdej włoskiej galerji zobaczycie przed celniejszemi malowidłami kilkanaście sztafeli, na których spoczywają płótna kopistów. Kopjują młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety. Popatrz na te liczne kopje jednego i tego samego malowidła, a przekonasz się jak wielka między niemi różnica, i jak wszystkie razem wzięte, są odmienne od oryginału. Nie tak to łatwo przyswoić sobie palący koloryt Tiziana, szlachetność Rafaela, dziewiczość Leonarda da Vinci i siłę Michała Anioła. Ci kopiści to karły w porównaniu z olbrzymami.

O szóstej z południa, gdy skwar ustał, opuszczam galerję, udając się na objad.

W sali jadalnej tłum, gorąco nieznośne, mimo że wszystkie okna otwarte. Goście siedzą w kapeluszach, przed każdym stoi olbrzymi *fiascone* wina czerwonego, słomą opleciony, a na talerzach mało mięsa. lecz sporo sałat rozmaitych. Jedzą, piją, nigdy się nie upijając, i wychodzą nie żegnając się z nikim przyjacielskiem ręki podaniem. Oni są wygodni, oni najmniejszego nie lubią przymusu. W takiem towarzystwie Polak długo nie wysiedzi. Zjadłszy objad coprędzej, pójdzie do teatru, lub na przechadzkę. W restauracjach pierwszorzędnych inne atoli panują zwyczaje. Tam wszystko po europejsku. Dadzą nawet potrawę, której w życiu waszem drugi raz jeść nie będziecie. Czy wam się to zdarzy, nie wiem, ale że się to wydarzyło dwom złotym młodzieńcom z Księstwa Poznańskiego, o tem wiem z najlepszego źródła.

Było ich dwóch. Obadwaj majętni, obadwaj młodzi, obadwaj weseli, obadwaj lekkomyślni. Przyjechawawszy do Florencji, stanęli w hotelu *New-York* nad brzegiem Arna. Przyzwyczajeni w domu do wcześniejszych objadów, zeszli do restauracji o godzinie 4tej. W sali zastali jednego tylko garsona, który po francusku nie rozumiał, a nasi panowie nie mówili słowa po włosku. Jeden zapragnął kaczki. Mówi po francusku, garson odpowiada: — *Non capisco* — powtarza nazwisko ptaka po niemiecku, garson odpiera:—*Non comprendo*. Zrozpaczony młodzieniec wpada na genjalny pomysł. Zwracając się do garsona, naśladuje ile możności głos kaczki, i woła kilkakrotnie:

— Kwa! kwa!

— *Ho capito!* — odpowiada Włoch domyślny i pędem z sali wybiega.

Po upływie dwudziestu minut wraca z jakimś ptakiem na półmisku. Nasz smakosz przypatruje się z niedowierzaniem, zaczyna krajać, ptak twardy jak żelazo. Tymczasem nadszedł garson starszy, mówiący kilkoma językami.

— Co on mi przyniósł, tego jeść nie można! — woła rozgniewany syn Wielkopolski.

Nastąpiła krótka konferencja między starszym a młodszym garsonem.

— To, co eccelleza rozkazał! Świeżo ubita, wybraliśmy najpiękniejszą. Kucharz zapłacił za nią 30 franków.

— Czy być może? Wszak w Paryżu kaczka kosztuje najwięcej pięć franków.

— Ależ to nie kaczka, to papuga!...

Chłopiec słysząc głos gościa był pewny że chce papugi i nią go poczęstował. Głosu kaczki on nie słyszał, a papugi wrzeszczą we Włoszech niemal w każdem oknie.

Przechadzka na półwyspie za murami miasta, to przyjemność największa. Cała ludność tam się zbiera — powozy ciągną długim szeregiem. Do północy prawie trwa błądzenie po alejach cienistych, a potem spieszy wszystko do domu, zatrzymując się po drodze przed przekupniami, sprzedającymi kawony i melony, lub przed kawiarnią aby wypić szklankę wody gazowej. Mieszkając w Bolonji, wracałem zawsze ulicą, wiodącą obok głównego teatru, zwanego *Teatro Comunale*. Na wiosnę, w jesieni i zimie, widziałem zawsze kilkadziesiąt osób, jak przytuliwszy ucho do muru teatru, słuchali gratis muzyki. Byli to bądź biedacy, bądź skąpcy. Od 8 wieczór do północy żaden nie opuścił zajętego stanowiska, a gdy opera się skończyła, dzielili się na grupy, i usłyszaną operę śpiewali wyśmienicie od początku do końca. A ileż to razy między tymi samoukami słyszałem głosy, z któremi artyści w teatrze mierzyć się nie mogli. Taki to słuch, takie głosy mają Włosi w Romanji.

We Florencji gdy noc cicha, gdy księżyc bladem światłem oblewa wieże kościołów, ni z tąd ni z owąd zbiera się gromadka ludzi z ulicy, jeden obejmuje kierownictwo, każdemu z obecnych każe sobie coś cicho do ucha zanucić, potem ustawi wszystkich według głosów, i w pięć minut rozpoczyna się serenada, jedna z tych serenad włoskich, które raz słyszane nigdy z pamięci nie wybiegają. W oknach najbliższych pałaców i kamienic ukazują się piękne główki, drobne rączki biją rzęsiste oklaski, a usteczka koralowe wołają:

— *Bravi!*

Chodźmy spać, wszak już północ. Chętnie pójdę, bom znużony, ale po drodze będę Boga prosił, by mnie nikt w nocy nie zbudził.

Przedwczoraj byłem we Ferrarze. Mieszkałem w pałacu X...

Zaledwie oczy zamknąłem, a było już po północy, slyszę że ktoś woła na ulicy: *Sereno!* W pół godziny, właśnie gdym zasypiał, inny głos krzyknął: *Sannebbia!* a nad ranem, gdy sen najsmaczniejszy, nowy głos powtórzył po trzykroć: *Piove!*

— Co znaczą te krzyki po nocy? — zapytałem rano mego gospodarza. — Jeden wrzeszczał pogoda, drugi że się chmurzy, trzeci że deszcz pada!

— Alboż w nocy tak nie było? Z pogodą położyliśmy się spać, a wstaliśmy z deszczem.

— Prawda, lecz kto kazał tym ludziom robić w nocy tak głośne spostrzeżenia meteorologiczne?

— Widać że nie znasz starych miast włoskich, w których ten ciekawy zwyczaj się przechował. To tradycja. Dawniej, gdy niemal każde z naszych miast należało do małego tyrana, stróże nocni byli obowiązani zawiadamiać swego pana co dwie godziny o stanie powietrza. Przechodząc z pokolenia na pokolenie przechował się ten zwyczaj do dni naszych, a że jeden z moich przodków był ostatnim panem Ferrary, więc każdej nocy stróże spełniają tradycję pod memi oknami.

Ciekawe zwyczaje! (C. d. n.)

WYCIECZKI
na współczesny Parnas francuski.

Przez
J. S. Chamca.

(*Ciąg dalszy.*)

I.
Aleksander Dumas.

W stosunkach towarzyskich, światowych, tak z kolegami jak z podwładnymi, Aleksander Dumas jest wymagający, nieużyty, trudny, a chociaż ma wielu wielbicieli, mało jednak liczy przyjaciół. Młodych debjutantów, udających się doń po radę, zwykł zbywać niczem: drwinkami, dwuznacznym dowcipem, cierpką i odstręczającą uwagą, czem sobie w ich sercach nie wybudował wspaniałej świątyni wdzięczności. Ilekroć zgodził się na jakie współpracownictwo, zawsze się takowe rozrywało hałasem skandalicznego procesu. Na dowód niech posłuży jeden przykład, mianowicie długa i głośna polemika z panem de Girardin, która toczyła się o komedję *Le suplice d'une femme*, przedstawioną w „Théatre français.“

Montigny, dyrektor uprzywilejowanego jego teatru „Gymnase,“ jakkolwiek radby ze względu na pewność zysków, na scenie swojej przedstawić wszystkie utwory Dumas'a, drży jednak zawsze, ilekroć jaką nowość otrzyma, ponieważ przewiduje nawalnicę wymagań, skarg i szykan, których dzięki charakterowi autora, nikt nie może uniknąć.

Artyści, którzy w tych utworach bądź główne bądź tylko podrzędne przyjmują role, narażeni na ciągłe przekąsy ze strony autora, uważają swoją pracę za ciężką pańszczyznę, i gdyby nie cząstka sławy, która spada i na nich z powodzenia sztuki, gdyby nie wyraźne nieraz dyrektora teatru ultimatum, obowiązku tego wyrzekli by się ze szczerą ochotą.

Srogi, wymagający względem innych, autor „Kameljowej damy“ (*La dame aux camélias*) i „Półświata“ (*Le demi monde*), sam od nikogo nie raczy przyjąć najmniejszej uwagi, najmniejszego nawet spostrzeżenia. Kiedy niedawno z powodu zupełnego prawie nieudania się przedostatniego jego dramatu *La femme de Claude*, specjalni recenzenci teatralni, jak naprzykład Francisque Sarcey, wystąpili z artykułami, w których bardzo względnie wykazywali usterki tego dzieła, on, wiemy to z pewnego źródła, sądy ich z drwiącem traktował lekceważeniem, i omal że nie odpowiadał na nie następnemi słowami:

— Zgraja osłów! Nie pojmuje mię a sądzi!

Zarozumiałość, dziedziczna widać choroba w tej familji, w ojcu dobrodusznością neutralizowana, jako rubaszna i naiwna do ślepoty, mogła śmieszyć, ale nie gniewać; w synie atoli o wiele wstrętniejsze przybrała formy.

Od niejakiegoś czasu zwłaszcza, Dumas syn nie pisze już i nie mówi, tylko ciągle rzekłbyś: proroczy. I jakby powracał ze szczytu Sinai, jak nowy Mojżesz po długiej ze Stwórcą rozmowie, tak on bojąc się zwykłych śmiertelników oślepić przebłaskiem swoich pomysłów, obwija je w osłonki jakichś mistycznych frazesów. A w słowach jego nigdy i nigdzie z najmniejszem wahaniem się, z najlżejszą przed tym lub owym sądem, nie spotkacie się obawą. *Tue la!* (tytuł i treść broszurki napisanej przez niego in gratiam kryminalnego procesu niejakiego Dubourg o zabicie niewiernej żony). *Tue la!* Wszystko tam brzmi w sposób podobnie absolutny, zamykający usta oponentom. Bez protestu! Bez apelacji! Jakby po wygłoszonym wyroku przez Dumas'a, ani ludziom, ani nawet Bogu nic już więcej nie pozostawało jak wyrok podpisać. Lecz nie wyprzedzajmy kwestji. O tej nowej fazie filozoficzno-proroczej w życiu Dumas'a, pomówimy później obszerniej; tu kilku innemi jeszcze rysami wypada nam uzupełnić, że się tak wyrażę, prywatny jego portret.

Sknera! Do niniejszego przygotowując się szkicu, umyślnie przejrzałem listy wszystkich składek dobroczynnych na podupadłych literatów, artystów itd. W żadnej nazwisko Dumas'a (syna) obok najdrobniejszego nawet nie figurowało datku.

By zaś dawał po cichu pod przybranem imieniem, lub pod tajemniczą osłoną trzech gwiazdek (***), tego znającym charakter jego i wygórowaną dziedziczną w nim miłość reklamy, na chwilę nawet przypuścić się nie godzi.

Samolub! Paragraf ten do umieszczonej wyżej wzmianki o złem współpracownictwie odesłać by się zdało. Opracowawszy w 1866 roku z niejakim Durantin dla teatru „Gymnase“ wielką w 4 aktach komedję: *Héloise Paranquet* i powodzenia jej nie pewny, dopóki publiczność ostatecznego o wartości dzieła nie wydała sądu, utajony w cieniu zostawiał na afiszu tylko nazwisko swego współpracownika, ale gdy wyrok widzów wypadł pomyślnie na stronę sztuki, wysuwając się wtedy z ukrycia upomniał się o połowę sławy i o połowę dochodu. W razie upadku sztuki byłby tego pewnie nie uczynił, gdyż udział w tryumfie przenosi nad udział w niepewnym hazardzie.

Niewdzięczny! Po onegdajszym prawie zgonie nieodżałowanej Descleé, artystki teatru „Gymnase;“ po zgonie tej, która wyborną grą swoją w głównych rolach jego sztuk do ich powodzenia w znacznej przyczyniła się mierze; zamiast jakby należało, czasowem usunięciem ze sceny tych arcydzieł, które ona ilustrowała, słuszną swoją wyrazić żałobę; on na własne tylko oględny zyski, nie czekając chwili, role nieboszczki pierwszej lepszej powierzył awanturnicy. Nowa debiutantka w „Gymnase“ przez Dumas'a protegowana nazywa się Tallandiera.

Czy na tem wygra, pytanie? Pierwszorzędny talent jakim był talent Desclée, tak łatwo nie da się odszukać. Sztuki jak *Une visite de noce* lub *Princesse Georges* źle odegrane stracą połowę ze scenicznej wartości. Ale cóż z tego? Nowość przedmiotu, piękność debiutantki znęcą Paryżan bez liku. Sala teatralna przez kilkanaście dni z rzędu pełna, ładną się autorowi przysłuży intratą. To jedno pono, na czem mu głównie zależyć musi.

Jak widzicie sporych potrzeba zasobów talentu, by zrównoważyć te wszystkie niezbyt podchlebne strony charakteru. Sporych trzeba zdolności by słuchaczy znających te ciężkie *ale* serca autorskiego skłonić do ochotnego oklasku.

A! Co pod tym względem, to natura była dla Dumas'a szczodrą matką, a nie skąpą macochą.

Jako badacz życia paryskiego, pewnych zwłaszcza jego odcieni, Dumas nie ma współzawodników. Oryginalnością i prawdą stawianych na scenę typów, ścisłą logiką dramatycznych wywodów, błyszczącą wreszcie djalogu werwą, bije ich wszystkich na głowę i tych daleko za sobą zostawia, którzy mu pragną dorównać. Komedje jego, to nietylko dzieła sztuki, to także wiernie odtworzone kartki codziennej egzystencji. Więcej w nich prawdy niż piękna. Dusze górnolotne, rozmarzone, poskarżą się na brak w nich ideału, lecz zwolennicy realizmu mogą im odpowiedzieć, że ideału tego i w naturze nie do zbytku. W przeważnej większości swoich utworów, Dumas nie jest artystą, lecz raczej doskonałym fotografem. Świat nie uszlachetniony, nie piękniejszy, a taki jakim jest rzeczywiście wybiega z pod jego pióra. I czyżby inaczej być mogło? Wyżej, w głównych zarysach postawiony wizerunek jego charakteru z góry nas do podobnego przygotował rezultatu. Przewaga tam umysłowej strony nad sercową; a więc i tu musiało też to w tej samej uwidocznić się proporcji. Nie żądać od kruka, by słowiczemi zanucił tony. Dumas to nie liryk, to nie poeta uczucia lub fantazji, to rzecznik prawdy, chociażby ona najbardziej cierpko brzmiała, to anatom rzeczywistości, nie zważający na wrzody, jakich dotknie się jego skalpel.

I jako takiego oceniać go należy.

Sąd to był dotychczas ogólnikowy, dorywczy, teraz należy poprzeć go szczegółami.

Zanim to uczynimy, nie od rzeczy będzie streszczony i o ile można chronologicznie uporządkowany podać wprzódy inwentarz literackiej Dumasa działalności.

Niech przed szczegółową analizą wyborowych jego produkcyj, jednym rzutem oka obejmiemy cały gmach tej niezbyt długiej jeszcze, a już tak zapełnionej karjery. Wychowaniec kolegjum Bourbon, opuszcza je w 1840 r. mając lat szesnaście i w rok potem 1841 r. występuje z pierwszym tomikiem wierszy, pt. *Les péchés de jeunesse*. Słaba ta młodzieńczych sił próbka, tonie bez śladu w morzu niepamięci, i dziś gdy autor jej taką się otoczył sławą, do nader poszukiwanych bibljograficznych należy rzadkości.

Po powrocie z podróży, odbytej w towarzystwie ojca po Hiszpanji i północnej Afryce, (Maroku, Algierze), wydaje w r. 1846 duży 6cio tomowy romans: *Les aventures de quatre femmes et*

d'un perroquet, rzecz w całości dość lichą, tam i owdzie jednakże śmiałemi i oryginalnemi odznaczającą się już ustępami. (C. d. n.)

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

III.

Hr. Rhuliere powiada, że Orłow poznał przypadkowo panię swego serca podczas ceremonji dworskiej. Nie podobna jednak przypuścić, by adjutant hr. Piotra Iwanowicza Szuwałowa mógł nie znać wielkiej księżnej, tem bardziej, że hrabia, jeżdżąc do dworu, bardzo często brał go z sobą.

Grzegorz Orłow urodził się nie bogatym, wzrósł bez wychowania, lecz za to natura obdarzyła go korzystniejszemi przymiotami: odwagą i wdziękiem. Był on oficerem artylerji, a dwaj jego bracia, Aleksy i Włodzimierz — żołnierzami w gwardji. Hr. Szuwałow, jenerał-feldcejgmejster, człowiek próżny i pyszny, chciał mieć adjutantem najpiękniejszego oficera ze swojej broni, i dla tego powołał do swego boku G. Orłowa. Hrabia miał na dworze przyjaciółkę, najpiękniejszą kobietę, księżnę Kurakinę, która wkrótce pozwoliła domyśleć się adjutantowi, że bez porównania więcej czuje dla niego, jak dla jego jenerała. Na nieszczęście oficera hrabia złowił go wkrótce na gorącym uczynku i oddalił od siebie, grożąc nadto Sybirem. Sprawa ta szeroko rozniosła się po mieście. Wkrótce dostała się i do dworu, gdzie się nią bawiono ze szczególniejszą przyjemnością. Nie długo trwało, a zaleciała także do pustelni Katarzyny, której ciekawość a może i współczucie dla nieszczęścia młodego oficera podyktowały z nim się zapoznać. Katarzyna ze zwykłą sobie ostrożnością urządziła schadzkę, a Orłow, niby nie domyślając się, kto jest tą ciekawą pięknością, znalazł w niej daleko więcej wdzięków i uczucia, niżeli u ks. Kurakinej. Po pierwszem spotkaniu nastąpiło wiele innych, w których Katarzyna prócz czułości nic więcej nie okazywała; gdy jednak przekonała się dostatecznie o odwadze i zdolności oficera do zachowania tajemnicy, objawiła mu swoje zuchwałe zamiary co do opanowania tronu. Jednocześnie został zorganizowany spisek, do którego przypuszczeni byli dwaj bracia Orłowa, najlepszy przyjaciel Bibików, porucznik Passek i kilku innych oficerów, dzięki którym pozyskano kilka kompanij gwardji, nie wiedzących jednak dokładnie, o co właściwie chodziło.

Carowa będąc jeszcze w. księżną, bardzo ceniła jenerała-lejtenanta Wilbna, człowieka wielkich zalet, i gdy ten po śmierci Piotra Szuwawa objął naczelne dowództwo nad artylerją, udała się doń, prosząc, by zrobił G. Orłowa skarbnikiem swego korpusu. Wilbna zadość uczynił tej prośbie, nie wiedząc, że przez to torował drogę swemu spółzawodnikowi.

Po wstąpieniu na tron Katarzyna zaciągając bez wyboru zwolenników do swego stronnictwa, przyjmowała nawet zdradzieckich magnatów wichrzycieli, którym z kolei przewodniczyli Bestużewy i Szuwałowy, a największą podporą byli: Cyryli Razumowski, jen.-lejt. ks. Wołkoński, siostrzeniec wygnanego Bestużewa i hr. Panin.

Takim sposobem potrafiła stworzyć trzecie stronnictwo, na czele którego stanęła 19letnia ks. Daszkowa, jeśli nie najstraszniejsza to najczynniejsza i najbezczelniejsza ze spiskowców. Złoczyńcy tych trzech stronnictw działali nie wiedząc jedni o drugich, a Katarzyna zdawała się do żadnego z nich nie należeć. Ks. Daszkowa powróciwszy z Moskwy, gdzie ją mąż krótko trzymał, nie mogła zdecydować się pójść za radą rodziców, którzy pragnęli, by zajęła miejsce siostry przy boku Piotra. Wtedy to zawiązała się ścisła przyjaźń pomiędzy nią a Katarzyną; po całych dniach rozprawiały z sobą o literaturze i miłosnych plotkach, a gdy carowa została wydaloną do Peterhofu, księżna została w Petersburgu, by tem pomocniejszą stać się dla niej. Korespondencja pomiędzy niemi trwała bez przerwy i księżna nie omieszkiwała donosić o najdrobniejszym wypadku tak na dworze jak w mieście, oraz podsuwała środki zaradcze przeciwko zamiarom cesarza. Bodźcem do tego była dla Daszkowej nie tylko wierna przyjaźń, lecz także zazdrość z powodzenia siostry. Żadne pogróżki siostry, ojca i stryja kanclerza, u którego się wychowała, nie mogły jej oderwać od stronnictwa, przy czem najniedorzeczniej pyszniła się, że mu przewodniczy. Podczas pobytu w Moskwie uczyła się języków, czytała mnóstwo rozumnych książek, co wszystko przyczyniło się do rozwinięcia wrodzonej próżności i pogardzania własnem rodzeństwem, gdy raz nabrała przekonania, że może stanąć na czele spisku, nie tylko pogardziła ich gniewem, lecz nadto gotowa była głową nałożyć.

Od niejakiego czasu ks. Daszkowa trzymała przy sobie pewnego piemontczyka, Odarta, którego potrzeba pchnęła szukać fortuny w Petersburgu. Dostawszy się do niej, zaszczepił w niej zamiłowanie do literatury francuskiej i zaznajomił z najcelniejszemi jej pisarzami. Przywiązanie jego do niej było tem większe, że wspólną mieli skłonność do intryg, że Daszkowa lubiła głośno powtarzać, iż jemu zawdzięcza swoje wykształcenie naukowe i estetyczne, nakoniec tak gorąco poleciła go carowej, iż ta zażądała go mieć przy sobie sekretarzem. Wkrótce wciskający się w zaufanie i badawczy sekretarz, zrobił się nie tylko jej powiernikiem w miłostkach, lecz także we wszystkich ambitnych planach dążących do opanowania władzy; a będąc świadkiem upokorzenia, jakie musiała znosić, tudzież wiedząc o hańbie i niebezpieczeństwie, wiszących nad jej głową, z łatwością przyszedł do przekonania, że nic innego nie pozostawało, jak zrzucić z tronu Piotra. Lecz jak odważyć się na to i jak do skutku doprowadzić?

Odart widział wszystkie trudności i niebezpieczeństwa, na jakie się narażał; lecz jeżeli z jednej strony groziła mu śmierć na torturach, za to z drugiej widział bogactwa i zaszczyty, jakie na przypadek powodzenia oczekiwały go w przyszłości. Pieniądz był jedynym Bogiem Odarta. Tacy ludzie nie umieją w środkach przebierać. Rzucił się więc najprzód do swojej dobrodziejki, ks. Daszkowej, która już przed tem przeczuwając jego odwagę, nieslychanie się tem ucieszyła, że człowiek, tak przez nią szanowany dla wysokich zdolności, stanie się jej spólnikiem. Wszystkie nadzieje stały otworem przed spiskowcami, mającymi obalić jednego z największych mocarzy świata. Odartowi stawały w myśli skarby państwa, a księżna wyobrażała sobie, że cały świat nie przestanie ją wspominać, i że sława, jaką zdobędzie, zaćmi sławę tej, dla której tron miała zgotować.

Wszakże wykonanie tak szerokich planów, wymagało większych środków jak te, któremi rozporządzali spiskowi. Nie wystarczyły rojenia i pragnienia 19letniej kobiety i nieznanego włóczęgi. Znużeni budowaniem zamków na lodzie, postanowili oboje zwrócić się nareszcie ku praktyczniejszemu celowi, mianowicie zająć się werbowaniem żołnierzy. W Rossji łatwiej jak gdzie kolwiek, zwierzchnik, mający siłę i stanowisko, może sobie zapewnić nieograniczone poważanie, a cóż dopiero mówić o człowieku, który przyzwyczaił się do przodowania intrygom dworskim. — Dla takiego nie istnieją obawy przed złem następstwem i przeszkody. Uwaga ich została zwróconą wskutek tego na hetmana Razumowskiego i hr. Panina. (C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ III.

(Odjazd. — Przypływ morza. — Wiązy i obrostnice. — Rozmaite rośliny i krzewy. — Jakamar. — Widok boru. — Olbrzymie eucalyptusy. — Skąd pochodzi ich nazwa „drzew gorączkowych“. — Gromady małp. — Wodospad. — Nocleg).

Nazajutrz — 30go października — wszystko było gotowe do zamierzonej wyprawy w głąb wyspy, którą ostatnie zdarzenia jeszcze niezbędniejszą uczyniły. W istocie przybrały rzeczy obrót taki, że osadnikom wyspy Lincolna słusznie mogło się wydawać, że nie oni potrzebować pomocy, lecz drugim nieść mogą takową.

Postanowiono zatem płynąć tak daleko w górę korytem Dziękczynnej, jak daleko czółnem się to da uskutecznić. Tym sposobem znaczną część drogi można było przebyć bez trudu, a osadnikom byłoby możliwem zapasy żywności i broń przenieść na punkt bardziej wysunięty na zachód.

W samej rzeczy bowiem trzeba było pamiętać nietylko o przedmiotach, które brano ze sobą, lecz także z góry i o tych, które dzięki szczęśliwemu trafowi, przyszłoby może zawieść ze sobą do Pałacu Granitowego. Jeżeli bowiem w istocie przy wybrzeżach tych rozbił się jaki okręt, jak to wszystkie okoliczności pozwalały przypuszczać, w takim razie spodziewać się można było znaleść jeszcze wiele innych szczątków i resztek z rozbitego okrętu, wyrzuconych przez morze na brzeg. W takim razie wózek bez wątpienia byłby przydatniejszym od kruchego czółenka; lecz wózek ten ciężki i niezgrabny trzeba było ciągnąć samemu, co rzecz znacznie utrudniało. Okoliczność ta zniewoliła Pencroffa do wyrażenia ubolewania, że znaleziona przez nich skrzynia, oprócz owego „pół funta tytoniu“, nie zawierała także jednej pary tęgich koni, rasy nowo-jerseyskiej, które dla osady byłyby niezmiernie użytecznemi!

Zapasy żywności, które Nab spakował do czółna, składały się z konserwów mięsnych i z kilka galonów piwa, tudzież likieru wyfermentowanego, to znaczy było żyć o czem przez trzy dni — taki bowiem najdłuższy przeciąg czasu

przeznaczył Cyrus Schmith na wyprawę. Zresztą liczono i na to, że w razie potrzeby można było po drodze odnowić zapasy, a Nab nie zapomniał wziąć ze sobą mały piecyk, dający się łatwo przenosić z miejsca na miejsce.

Z narzędzi wzięli ze sobą osadnicy dwie siekiery do rębania drzewa, które miały służyć do torowania sobie drogi w gąszczach leśnych, a z instrumentów: lunetę i busolę kieszonkową.

Co się tyczy broni wybrano dwie strzelby skałkowe, przydatniejsze na wyspie niżeli strzelby nowszego systemu, pierwsze bowiem biły za pomocą krzemieni, które łatwo było zastąpić nowemi, podczas gdy drugie wymagały sztucznych kapsli, których zapas przy częstem używaniu prędko mógł się wyczerpać. Mimo to wzięli także ze sobą jeden karabin i kilka gotowych nabojów. Trzeba było także wziąć ze sobą pewien zapas prochu, którego w obu beczułkach mieściło się około pięćdziesiąt funtów, inżynier jednak miał nadzieję, że uda mu się sfabrykować rodzaj masy eksplodującej, przez co możnaby było proch zaoszczędzić. Prócz broni palnej wzięto także pięć kordelasów, opatrzonych skórzanemi pochwami. Tak opatrzeni i uzbrojeni mogli się osadnicy nasi zapuścić w głąb tych nieprzejrzanych borów, z pewną otuchą, że w każdym razie potrafią dać sobie radę.

Zbytecznem byłoby dodawać, że Pencroff, Harbert i Nab, widząc się tak uzbrojonymi, znaleźli się u kresu swych marzeń, chociaż Cyrus Schmith wymógł na nich obietnicę, że ani jednego strzału nie dadzą na wiatr.

O godzinie szóstej z rana pchnięto czółno na morze. Zabrali w niem miejsce wszyscy, nie wyjmując Topa i popłynęli ku ujściu Dziękczynnej.

Morze dopiero od pół godziny poczęło się podnosić. Mieli zatem przed sobą jeszcze kilka godzin przypływu, z których należało korzystać, później bowiem, podczas odpływu musieliby płynąć przeciw prądowi, coby znacznie utrudniało żeglugę. Przypływ był już dość silny, za trzy dni bowiem przypadała pełnia księżyca, a czółno, które trzeba było tylko utrzymywać w prądzie rzeki, mknęło chyżo między oboma stromemi brzegami, bez popychania go wiosłami.

W kilku minutach przybili podróżnicy nasi do kolana, które tworzyła Dziękczynna, właśnie do owego rogu, w którym Pencroff siedm miesięcy przedtem sporządził był pierwszy spław drzewa.

Po za tym dość spiczastym zakrętem, rzeka, zaokrąglając się, pędziła ukośnie w południowo-zachodnim kierunku, pod cieniem olbrzymich drzew szyszkowych, lśniących wieczną zielenią.

Brzegi Dziękczynnej przedstawiały widok cudowny. Cyrus Schmith z towarzyszami swoimi mogli tylko podziwiać owe cudne efekta, jakie natura wydobywa tak łatwo za pomocą wody i drzew. W miarę jak płynęli coraz dalej, zmieniały się przed ich oczyma rodzaje leśnych obrazów. Na prawym brzegu rzeki piętrzyły się amfiteatralnie przepyszne „ulmacae", owe drogocenne wiązy, tak poszukiwane przez budowniczych, a posiadające własność długiego utrzymywania się w wodzie. Dalej liczne grupy drzew należących do tej samej klasy, między innemi obrostnice rodzące migdały, z których wyrabia się oliwę nader użyteczną. Dalej zauważył Harbert kilka „lardizabalów", których giętkie gałęzie wymoczone w wodzie, nadają się na tęgie powrozy, tudzież dwa lub trzy pnie drzew hebanowych, pięknego czarnego koloru, dziwacznie żyłkowanego.

Od czasu do czasu, w miejscach gdzie łatwiej było wydobyć się na brzeg, zatrzymywało się czółno. Wówczas Gedeon Spilett, Harbert i Pencroff ze strzelbami w rękach, z Topem na czele, postępowali wzdłuż brzegu. Nie mówiąc już o zwierzynie, łatwo napotkać mogli jaką użyteczną roślinę, wcale nie do pogardzenia, a młody nasz przyrodnik widział swe życzenia najzupełniej ziszczone, odkrył bowiem rodzaj dzikiego szpinaku, z rodzaju „mączyńców", i liczne okazy roślin krzyżowych, należących do rodzaju kapuścianego, dającego się ławo uszlachetnić przez przesadzenie, jako to: rzerzuchę, rzodkiew, rzepę i w końcu małe bujnie rozgałęzione łodygi, z lekka kosmate, wysokości jednego metra, wydające ziarna brunatnego prawie koloru.

— Wiesz ty co to za roślina? zapytał Harbert marynarza.

— Tytoń! zawołał Pencroff, który prawdopodobnie ulubionej swej rośliny nie widział nigdy inaczej, jak tylko we fajce.

— Nie, Pencroffie! odparł Harbert, to nie tytoń, to musztarda!

— Niech będzie i musztarda! odrzekł marynarz; ale jeśli przypadkiem znajdziesz gdzie źdźbło tytoniu, to proszę cię, nie gardź niem.

— Znajdziemy go kiedyś! rzekł Gedeon Spilett.

— Doprawdy! zawołał Pencroff. To wtedy dalibóg nie będę już wiedział, czegoby jeszcze brakowało na naszej wyspie!

Rozmaite te rośliny powyrywane starannie z korzeniem, zaniesiono do czółna, którego nie opuszczał Cyrus Schmith, zatopiony ustawicznie w rozmyślaniach.

Korespondent, Harbert i Pencroff wylądowywali tym sposobem kilkakrotnie, bądź to na prawym brzegu Dziękczynnej, bądź na lewym. Lewy brzeg był mniej stromy, za to prawy bardziej lesisty. Inżynier, obserwując swą busolą, mógł poznać łatwo, że brzeg rzeki począwszy od pierwszego kolana, zakręcał się znacznie w kierunku południowo-zachodnim i północno-wschodnim, a na przestrzeni blisko trzech mil ciągnął się w prostej prawie linji. Prawdopodobnem było jednak, że kierunek ten później się zmieni i że Dziękczynna zwróci się napowrót ku północno-wschodniemu kierunkowi, ku poprzecznym pasmom góry Franklina, które swemi potokami musiały ją bezwątpienia zasilać.

Podczas jednej z takich wycieczek, udało się Gedeonowi Spilettowi schwytać żywcem dwie pary dzikich kur. Były to ptaki z długiemi i cienkiemi dziobami, z wysmukłemi szyjami, krótkiemi skrzydłami i bez znaku ogona. Harbert nazwał je „tinamusami," i postanowiono zaludnić niemi pierwszemi podwórko nowego gospodarstwa.

Dotychczas jeszcze nie odezwały się były strzelby, a pierwszy huk, który się rozległ w tym borze Zachodniej Ręki, spowodowało zjawienie się pięknego ptaka, podobnego z powierzchowności do zimorodka.

— Poznaję go! — zawołał Pencroff — i można rzec śmiało, że strzał padł prawie pomimo jego woli.

— Co pan poznajesz? — zapytał korespondent.

— Ptaka, który nam uciekł przy pierwszej naszej wycieczce, i którego nazwiskiem ochrzciliśmy tę część boru.

— Jakamar! — zawołał Harbert.

Był to w samej rzeczy jakamar, piękny ptak, którego twarde nieco pierze posiada połysk metaliczny. Kilka ziarnek śrótu ściągnęło go na ziemię, a Top zaniósł go do czółna, wraz z pół tuzinem gądzieli, z rodzaju ptaków łażących, wielkości gołębia, barwy zielonawej, z częścią skrzydeł koloru karmazynowego i z czubem prosto sterczącym z białą obwódką. Harbertowi należał się honor tego strzału i był z niego dumnym nie mało. Gądziele były lepsze na zwierzynę niżeli jakamar, który ma mięso trochę łykowate, lecz trudnoby było przekonać Pencroffa, że nie ubił tym razem wcale króla wszech-ptactwa jadalnego.

Była już godzina dziesiąta z rana, gdy czółno dopłynęło do drugiego kolana Dziękczynnej, oddalonego około pięć mil od jej ujścia. Zatrzymano się w tem miejscu na śniadanie, a przestanek ten pod sklepieniem rozłożystych pięknych drzew trwał pół godziny.

Szerokość rzeki wynosiła jeszcze w tem miejscu sześćdziesiąt do siedmdziesięciu stóp, a głębokość łożyska pięć do sześciu stóp. Inżynier zauważył, że wiele potoków wpadało po drodze do rzeki, lecz były to tylko proste strumyki, wcale nie spławne. Co się tyczy boru, i to tak lasu jakamarowego jak i lasu Zachodniej Rzeki, ten ciągnął się nieprzejrzaną, nieskończoną puszczą. Ani pod niebotycznem sklepieniem zastępów, ani na drzewach rosnących wzdłuż brzegów Dziękczynnej, nie było znać śladu ludzkiej stopy. Podróżnicy nie znaleźli żadnego znaku podejrzanego, i oczywistem było, że nigdy siekiera nie tknęła tych drzew, że nigdy nóż pjonierski nie przecinał tych splotów wikliny wijącej się od jednego pnia do drugiego, wśród gęstych krzaków i wysokiej trawy. Jeśli rozbitki jacy wylądowali w istocie na wyspę, nie musieli jeszcze opuścić wybrzeży, i z pewnością nie pod gęstem sklepieniem puszczy należało szukać pozostałych przy życiu mniemanych rozbitków.

Inżynier zdradzał zatem pewien pośpiech w chęci dotarcia do zachodnich wybrzeży wyspy Lincolna, oddalonych jeszcze wedle jego obliczenia najmniej pięć mil. Przedsięwzięto więc dalszą żeglugę, i pomimo że rzeczywisty kierunek Dziękczynnej zdawał się zmierzać zamiast ku zachodnim wybrzeżom raczej ku górze Franklina, postanowiono nie opuszczać czółna, dopóki stanie dość wody, aby je unieść. Tym sposobem oszczędzano zarówno trudów jak czasu, gdyż inaczej trzeba by było siekierą torować sobie drogę w pośród gąszczy.

Wkrótce jednak pęd wody ustał zupełnie, czy to dla tego, że morze zaczęło opadać — a właśnie o tej godzinie powinno było zacząć opadać — czy też dla tego, że przypływ morza w tej odległości od ujścia Dziękczynnej nie dawał się czuć więcej. Trzeba więc było chwycić za wiosła. Nab z Harbertem zajęli swe ławki. Pencroff zasiadł przy sterze i puszczono się dalej korytem rzeki.

Zdawało się wówczas, że bór od strony Zachodniej Rzeki począł zwolna rzednieć. Drzewa były mniej natłoczone, a nawet często stały odosobnione. Lecz właśnie dla tego, że były rzadziej porozrzucane, tem pełniej korzystały z wolnego świeżego powietrza, które je otaczało i były wspaniałe.

Co za cudowne okazy flory tych stref. Sama obecność ich wystarczyłaby była niezawodnie botanikowi do natychmiastowego oznaczenia równoleżnika przerzynającego wyspę Lincolna!

— Eucalyptusy! zawołał nagle Harbert.

Były to w samej rzeczy te przepyszne drzewa, ostatnie olbrzymy stref pozazwrotnikowych, współplemienniki eucalyptusów rosnących w Australji i w Nowej Zelandji, które to części świata położone są pod tym samym stopniem geograficznej szerokości, co wyspa Lincolna. Niektóre z nich wznosiły się do wysokości dwustu stóp. Pień ich posiadał u samego podnóża dwadzieścia stóp obwodu, a kora ich pokryta siecią żył napełnionych wonną żywicą, miała do pięciu cali grubości. Nic cudowniejszego lecz zarazem osobliwszego, jak te olbrzymie okazy z rodziny Mirtowatych, których liście profilem zwracały się do światła i aż do samej ziemi przepuszczały promienie słoneczne!

U stóp tych eucalyptusów świeża zieloność pokrywała ziemię, a z murawy zrywały się gromady małych ptaszków połyskujących w kaskadach światła jak skrzydlate karbunkuły.

— O to mi drzewa! zawołał Nab, lecz czy przydadzą się na co?

— Ba! odparł na to Pencroff. Tak jak mamy olbrzymów-ludzi, tak samo muszą być także i olbrzymy roślinne. Lecz to się nie przyda na nic, chyba tylko aby się dać pokazywać po jarmarkach!

— Zdaje mi się, że jesteś w błędzie Pencroffie, odparł Spilett, i że drzewo eucalyptusowe zaczyna być teraz używane bardzo korzystnie do robót stolarskich.

— A ja dodam, ozwał się Harbert, że eucalyptusy te należą do rodziny liczącej wiele innych jeszcze pożytecznych członków i tak: drzewo gojawowe rodzące gojawy; drzewo gwoździkowe wydające gwoździki korzenne; drzewo granatowe rodzące granaty i *eugenia cauliflora* której owoce służą do fabrykowania niezłego wina; mirt *ugni* zawierający wyborny płyn alkoholiczny; mirt *caryophyllus*, którego kora składa się z wielce cenionego cynamonu; krzew pimentowy (*eugenia pimenta*) dający pieprz jamajski; mirt właściwy, którego jagody zastąpić mogą pieprz; *eucalyptus robusta* wydający rodzaj wybornej manny; *eucalyptus Gunci* którego sok wskutek fermentacji przemienia się w piwo; wreszcie wszystkie owe drzewa znane pod nazwą „drzew życiodajnych“ lub „drzew żelaznych“ należące do rodziny Mirtowatych, której liczymy czterdzieści sześć rodzajów i tysiąc trzysta gatunków.

Dano się wygadać młodemu chłopcu, który z wielkim zapałem wygłaszał swoją lekcję botaniki. Cyrus Smith słuchając uśmiechał się, a Pencroff słuchał z wyrazem dumy niepodobnym do opisania.

— Dobrze więc, Harbercie rzekł Pencroff, ale jabym przysiągł, że wszystkie te okazy pożyteczne, które tu wyliczyłeś, nie są wcale takiemi olbrzymami, jak te!

— W samej rzeczy Pencroffie.

— To też popiera zdanie, które właśnie wypowiedziałem, odparł marynarz: że olbrzymy są do niczego!

— Otóż w tem się mylisz Pencroffie, odezwał się na to inżynier, i właśnie te olbrzymie eucalyptusy, pod których sklepieniem spoczywamy, służą do czegoś.

— Do czego też?

— Do czyszczenia powietrza w krajach, w których rosną. — Wiesz jak się nazywają w Australji i Nowej Zelandji?

— Nie wiem, panie Cyrus.

— Nazywają je „drzewami gorączkowemi.“

— Czy dla tego, że sprowadzają gorączkę?

— Nie, dla tego że od niej chronią!

— Dobrze zanotuję to sobie, rzekł korespondent.

— Zanotuj to, kochany Spilett, zdaje się bowiem być faktem stwierdzonym, że obecność eucalyptusów wystarcza do zneutralizowania wpływu miazmów gorączkowych. Próbowano tego nuturalnego środka prezerwatywnego w niektórych krajach południowej Europy, tudzież północnej Afryki, gdzie ziemia była absolutnie szkodliwą zdrowiu, a stan zdrowia mieszkańców polepszał się coraz bardziej. W okolicach zarosłych lasami mirtowemi nie panują więcej gorączki perjodyczne. Fakt ten nie ulega więcej żadnej wątpliwości i jest to okoliczność nader przyjemna dla nas, mieszkańców wyspy Lincolna.

— Ach! co to za wyspa! co to za wyspa błogosławiona! zawołał Pencroff. Powiadam wam, że nie brak na niej niczego... z wyjątkiem...

— Będzie i to Pencroffie, znajdzie się i to, odparł inżynier; lecz teraz zabierzmy się znów do żeglugi i płyńmy tak długo, jak długo rzeka potrafi unieść czółno!

Puszczono się więc dalej w podróż, co najmniej dwie mile, wśród okolicy pokrytej eucalyptusami górującemi po nad wszystkie drzewa rosnące w tej części wyspy. Pokrywały one nieprzejrzaną przestrzeń po obu brzegach Dziękczynnej, której kręte łożysko wiło się wśród wysokich zieleniejących brzegów. Nieraz łożysko to zamykały wysokie krzewy, a nawet ostre skały utrudniające znacznie żeglugę. Przeszkadzały one poruszaniu wioseł i Pencroff musiał z tyłu żerdzią popychać. Czuć było także, że dno wznosiło się coraz wyżej, i że niebawem czółno dla braku wody będzie musiało stanąć. Słońce zachodziło już na widnokręgu i rzucało na ziemię olbrzymie cienie drzew. Cyrus Schmith widząc, że niepodobna było tego dnia dotrzeć do zachodnich wybrzeży wyspy, postanowił stanąć noclegiem na tem samem miejscu, w którem żegluga dla braku wody zostałaby wstrzymaną.

Według jego obliczenia oddzielało ich od wybrzeży jeszcze jakie pięć do sześć mil; była to odległość zbyt wielka, by można się odważyć przebyć ją nocą wśród tych nieznanych borów.

Łódź popychana zatem bez przerwy mknęła wśród lasu, który zwolna gęstniał znowu i zdawał się nawet bardziej zaludniać, gdyż jeśli nie mylił wzrok marynarza, zdawał się tenże dostrzegać gromady małp skaczących przez zarośla. Niekiedy nawet dwoje lub troje tych zwierząt zatrzymywało się w pewnem oddaleniu od czółna i spoglądało na naszych podróżnych nie objawiając najmniejszej trwogi, jakby widząc po raz pierwszy dopiero ludzi, nie nauczyły się jeszcze ich lękać. Z łatwością byłoby przyszło ubić kilka tych czwororękich postrzałami, lecz Cyrus Smith sprzeciwiał się tej niepotrzebnej rzezi, która dla zapalonego Pencroffa była nie małą pokusą. Odradzała ją zresztą sama roztropność, małpy te bowiem obdarzone niepospolitą siłą i zręcznością mogły być niebezpieczne i lepiej było nie drażnić ich niewczesną całkiem napaścią.

Prawda, że marynarz zapatrywał się na małpę ze stanowiska czysto kulinarnego, i w samej rzeczy zwierzęta te, wyłącznie trawożerne dają wyborną zwierzynę; lecz ponieważ na żywności nie zbywało, więc byłoby zupełnie niepotrzebnem trwonić amunicję na wiatr.

Około godziny czwartej żegluga stała się nader uciążliwą, łożysko rzeki bowiem tamowały wodne zielska i skały. Brzegi stawały się coraz wyższemi i rzeka torowała sobie drogę wśród pierwszych pasm góry Franklina. Niedaleko już zatem musiało być do jej źródeł, gdyż takowe zasilane były przez potoki spadające z południowych stoków góry.

— Nie minie kwadrans, rzekł marynarz, a będziemy się musieli zatrzymać, panie Cyrus.

— To się zatrzymamy, Pencroffie, i urządzimy sobie nocleg.

— Jak daleko może być z tąd do Pałacu Granitowego? zapytał Harbert.

— Mniej więcej siedm mil, odparł inżynier, wliczając w to wszystkie zygzaki i zakręty rzeki, które nas zawiodły w kierunku północno-zachodnim.

— Czy będziemy płynąć dalej? zapytał korespondent.

— Jak daleko się tylko da, odparł Cyrus Schmith. — Jutro, skoro świt, opuścimy czółno, przebędziemy w dwóch godzinach, jak sądzę, przestrzeń dzielącą nas od morza, i tym sposobem zostanie nam prawie cały dzień do zwiedzenia wybrzeży.

— Naprzód więc! odrzekł Pencroff.

Niebawem jednak poczęła łódź trącać o kamieniste dno rzeki; w tem miejscu nie była szerszą nad dwadzieścia stóp. Gęsta altana zasklepiała się przed jej korytem i pogrążała je w mrok półcieniu. Słychać było dość wyraźny szmer wodospadu, który świadczył, że kilkaset kroków dalej znajdowała się naturalna zapora.

I w samej rzeczy, gdy minęli ostatni zakręt rzeki, ukazał się im wśród zarośli i drzew szumiący wodospad. Czółno utknęło o dno, i w kilka minut później stało przymocowane do pala przy prawym brzegu rzeki.

Była wtedy godzina mniej więcej piąta. Ostatnie promienie słońca przedzierały się przez gąszcz i padały ukośnie na wodospad, którego kroplisty pył połyskiwał tęczowemi barwami. Po za nim gubiło się łożysko rzeki wśród zarośli, podsycane zapewne przez jakieś źródło ukryte. Rozliczne strumyki, które po drodze wpadały do niej, wzbierały po niżej do wielkości rzeki, lecz w tem miejscu była ona tylko przezroczystym, płytkim potoczkiem.

W cudownem tem miejscu rozbito koczowisko. Podróżnicy nasi wylądowawszy rozniecili ogień pośród grupy rozłożystych obrostnic, w których gałęziach Cyrus Smith wraz z towarzyszami swoimi znaleźliby w razie potrzeby schronienie na noc.

Wygłodniali spożyli wieczerzę z wilczym apetytem, należało tylko myśleć o spaniu. Lecz jakieś ryki podejrzane dały się słyszeć z wieczora, dołożono drew do ognia na noc, ażeby migocące jego płomyki ochraniały śpiących. Nab z Pencroffem czuwali nawet kolejno, nie szczędząc paliwa. Być może, że wzrok ich nie mylił, gdy zdawali się dostrzegać cienie zwierząt krążących dokoła koczowiska, bądź wśród zarośli bądź też wśród gałęzi drzew; noc jednak przeszła bez żadnego zdarzenia, i nazajutrz, 31go października, o godzinie piątej zrana, wszyscy już byli na nogach, gotowi do dalszej godróży.

(C. d. n.)

Westchnienie.

O jakżeś Ty dobry, Boże!
Że słońcu świecić pozwalasz,
Że mi wieczorne Twe zorze
Na cichem niebie zapalasz.
Żeś w takie cudne sukienki
Przyodział łono natury.
Że mi tak słodkie piosenki
Wiosenne śpiewają chóry!

O jakżeś Ty wielki, Boże!
W stworzenia Twego ogromie!
Jak trwożnie sercem się korzę,
Czując Cię wszędzie widomie;
Czując na niebie i ziemi,
W harmonji, co światy sprzęga,
W mądrości, co rządzi niemi,
W myśli, co Ciebie dosięga!

O! jakżeś Ty mocny, Boże
Miłości i prawdy mocą!
Co nas przez życia bezdroże
Prowadzą, jak gwiazdy nocą.
Co leją w rany najkrwawsze
Tak błogi balsam pociechy,
Że twarz wybranych Twych zawsze
W niebiańskie zdobna uśmiechy!

Czuję Cię! widzę i słyszę!
O Tobie życia gwar dzienny,
Wieczorne mówią mi cisze
I światów orszak promienny!
O Tobie, któremu składam
Życie me, czyste cierpieniem —
O Tobie, przed którym padam
Tem jednem, wielkiem westchnieniem!

Maj 1875.

Marja B.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ IV.

Zdaliśmy sprawę z misji, którą wziął był na siebie p. Tadeusz Zamecki, i której celem było zbliżenie dwojga zakochanych młodych ludzi, rozdzielonych niedyplomatyczną interwencją p. Skryptowicza. Misja ta, jak widzieliśmy, poszła gładko, i jeden z dwóch młodych bohaterów naszych widział się nagle przykutym do miejsca pobytu ubóstwianej przez się istoty, nietylko siłą swojego uczucia, ale nawet formalnie podpisanym kontraktem. Który z tych węzłów był silniejszym, lub czy obydwa były równie silnemi, to na razie zostawić musimy domyślności szanownego czytelnika, i jego znajomości świata i ludzi, tymczasem zaś zajmiemy się losem drugiej pary, także jeszcze młodej i także interesującej, a pod względem chronologicznym mającej o ośm lat dawniejsze prawa do naszej uwagi i sympatji.

Gdyśmy zapoznali z sobą i skojarzyli szczęśliwie w nierozerwalne stadło małżeńskie pana Tadeusza Zameckiego i pannę Helenę Podwalską, różnica wieku między panem młodym a panną młodą wynosiła lat dwanaście, i były wówczas glosy, jakoby 28 letnia panna wychodząc za mąż za 40letniego wdowca, wybrała sobie „starego męża.“ Pan Alfred Zgorzelski starszym był o trzy lata od pani Zameckiej, a panna Wanda Cichocka młodszą była od niej o lat ośm, w tej chwili więc, o której traktuje obecny rozdział naszej powieści, pod względem dat tak ścisłej, pan Alfred liczył lat 39, a panna Wanda była w tym samym wieku, w którym wyszła za mąż panna Podwalska. Pomimo to nietylko nikomu nigdy nie mogło przyjść do głowy, by p. Alfred był za starym na męża dla panny Wandy, ale przeciwnie tak zwany „świat“ zapytany o swoje zadanie byłby powiedział, na wypadek ogłoszenia zapowiedzi w kościółku Rymiszowskim, że pan Alfred żeni się ze starą panną. Było to winą jednej, a zasługą drugiej strony. Panna Wanda byłaby wprawdzie raczej poniosła śmierć męczeńską, nimby była przyznała, iż wobec każdego pod słońcem kodeksu cywilnego przysługuje jej od kilku już lat bezwarunkowe prawo rozporządzania swoją osobą i majątkiem. Na szczęście atoli i na nieszczęście, tak ciężka próba byłaby w tym wypadku była zbyteczną. Na szczęście mówimy, ponieważ każda panienka od lat 15tu do 45ciu, a nawet i później, ma zawsze mamę, ciocię, tatę, wuja, lub kogoś podobnego, na kogo może złożyć obowiązek dopełnienia formalności, inaugurowanej rumieńcem, skromnem spuszczeniem oczu, i słowami: „Panie... ja nie wiem.. jeżeli mama (ciocia, wujancia, tato itp.) pozwoli, to... ja... ja...“ — reszta daje się do zrozumienia. Panna Wanda miała ciocię, panię Trzecieszczakiewiczowę, do której mogła odesłać pana Alfreda po zezwolenie — miała ją, jak powiadam, na szczęście. Na nieszczęście zaś, w dwudziestem ósmem lecie życia, panna Wanda w miłych zresztą i nieszpetnych rysach swojej twarzy, miała już wyraz tego o co pyta notarjusz przy podpisaniu kontraktu, jeżeli własnowolność jego klijenta wydaje mu się podejrzaną. Jednem słowem, nie wydawała się ani o rok młodszą, niż była w istocie, a przytem nie była nigdy imponującą pięknością. Była to owszem zaledwie osóbka, o jakiej mówią popularnie, że jest „niczego.“ Co gorsza, wyszedłszy z pod opiekuńczych skrzydeł pani Trzecieszczakiewiczowej, zapomniała była wpojonych w nią mozolnie elementów sztuki podobania się całemu światu. Umiała jeszcze tylko ze spojrzeń, półsłówek, — i o słodyczy! — czasem z całych słów pana Alfreda domyślać lub dowiadywać się, w czem jej „do twarzy,“ i w jaki sposób mogła „prezentować się“ najkorzystniej. Ponieważ zaś, o ile nam wiadomo, p. Alfred nader rzadko zadawał sobie pracę mówienia tego co myślał, więc informacje panny Wandy w tej mierze bywały do tego stopnia mylnemi, że pani Zamecka nieraz w obecności trzecich osób strofowała go, jakoby rozmyślnie „robił cudaka z biednej Wandzi,“ a nieraz też, gdy była sama z sobą lub ze swoim ideałem, śmiała się do łez „z głupiej dziewczyny, w którą ten *mauvais sujet*, Alfred, wmówi, co mu się podoba.“ Rezultatem zaś tego wszystkiego było, że panna Wanda mogła być zjawiskiem ujmującem i powabnem chyba dla kogo takiego, ktoby był myślał to, co jej mówił p. Alfred, ale — takiego nikogo nie było na świecie.

P. Zgorzelskiego znamy dobrze z powierzchowności i innych zalet różnego rodzaju. Bylibyśmy niesprawiedliwymi, gdybyśmy nie przyznali, że szkoda go było dla panny Wandy. Tak świetny kawaler, poruszający się w wyższych sferach towarzystwa, mógł mieć pretensję do lepszej partji, bez względu na swoje pasywa majątkowe. Czuła to panna Wanda, czuł to niemniej głęboko i p. Alfred. Umiał on też przez długie lata i starać się niby o rękę panny Cichockiej, i odwlekać rzecz *ad feliciora tempora*, w gruncie rzeczy atoli ożenienie się z nią było w jego oczach ewentualnością równie straszną, jak n. p. niedwuznaczna i niczem niepokryta infamja, a nawet o mało co mniej straszną od zarabiania na chleb codzienny lub od śmierci lirycznej.

Pani Zamecka podjęła się tedy zadania nieskończenie trudniejszego, niż p. Zamecki na plebanji, gdy przyrzekła mężowi, że pomówi z p. Zgorzelskim i zaproponuje mu znaczne ułatwienia i korzyści materjalne, pod warunkiem, by położył stanowczy i pożądany kres swoim długoletnim i stałym konkurom. Trudność ta ułatwioną wszakże była z powodu, iż p. Zamecka nie miała zamiaru jej przezwyciężać. Dla tego też rokowania dyplomatyczne w tej mierze były skończone, gdy p. Tadeusz przyprowadził z sobą na objad ks. Chyżyckiego i Wacława. Prawdę powiedziawszy, konferencji w myśl p. Tadeusza nie rozpoczynano wcale. Jeszcze więcej prawdy powiedziawszy — bo przecież szanowny czytelnik o wszystkiem kiedyś dowiedzieć się musi — konferencję tę poprzedziły dwie inne, między panią Heleną a p. Alfredem, i o tych autor przedewszystkiem musi dać szczegółową relację, jeżeli nie chce tając to i owo, zamącać naturalnego biegu wypadków zagadkowemi niespodziankami.

P. Zgorzelski wrócił był z pierwszej swojej wyprawy do miasta i minął był na stacji kolei żelaznej udających się tamże pp. Tadeusza i Karola, gdy mu Dubyna wręczył pismo z Rymiszowa, w skutek czego bohater nasz po kilku kwadransach na znanym z dzielnych skoków swoich kasztanku jechał wolno lasem rymiszowskim, drogą wiodącą od Kruchówki. Nim wyjechał w pole, usłyszał tętęt konia, i za chwilę ujrzał przed sobą panią Helenę na Zulejce. Miejsce zjazdu było dobrze wybrane, jeżeli chodziło o rozmowę bez świadków, oprócz fur włościańskich bowiem, wlekących się drogą od czasu do czasu, nie było tam innego ruchu, a pojawienie się kawalkaty, złożonej z Alfreda i p. Heleny konno, należało do rzeczy, z któremi włościanie w okolicy byli tak oswojonymi, iż nawet nieobecność Dubyny nie mogła im wpaść w oczy, zwłaszcza, gdy jak wiemy, namiętny ten miłośnik złego tytoniu dzięki względności p. Alfreda jeździł zawsze o jakie sto kroków za państwem i nie był postacią dość zajmującą, by ktokolwiek chciał zastanawiać się, gdzie Dubyna podział się tym razem? Faktem jest tylko, że kiedy p. Tadeusz był w domu, p. Zamecka nie wyjeżdżała nigdy w towarzystwie p. Zgorzelskiego bez Dubyny, i faktem jest, że właściwie nie mogła przewidzieć spotkania z p. Alfredem w lesie, bo list, który do niego pisała, tyczył się oczywiście składek na szpital w Korytnicy. A zresztą, czy nie była od tylu lat w otwartej wojnie z p. Zgorzelskim, do tego stopnia, że p. Tadeusz stawać musiał nieraz po jego stronie?

Pani Helena zatrzymała Zulejkę, p. Alfred zwrócił kasztanka i oboje ruszyli stępem w stronę, z której on był nadjechał. Przez chwilę nie rzekli do siebie ani słowa — p. Zgorzelski miał zwykłą swoją minę, swobodną i obojętną, podczas gdy p. Zamecka mierzyła go wzrokiem badawczym i ostrym.

— Co zrobiłeś z Bergerem? zapytała nakoniec.

— Jeszcze nic.

— Mój Boże, kiedyż to się już przynajmniej skończy! Mówiłam ci, że to się skończyć musi. Nie podobna mi żyć w tej ciągłej trwodze, dla tej nędznej twojej sprawki. Czy masz ty sumienie, narażać mnie na tyle niepokoju? Ale, zabawna jestem! dodała ze spazmatycznym śmiechem. —

Z tobą mówić o sumieniu! Powiem ci co innego. Czy wiesz, że Karol wie o wszystkiem?

P. Alfred kiwnął obojętnie głową i odpowiedział znudzonym tonem:

— Wiem.

— Karol wie nawet więcej, niż ja wiedziałam. Czy ty oszalałeś, że ci przyszło na myśl dla wykupienia jednego wekslu od żyda, spieniężać drugi znowu z tym samym podrobionym podpisem Tadeusza! Nie masz nawet zręczności pospolitego zbrodniarza, przy wszystkich swoich złych instynktach. Tysiąc razy na dzień przychodzi mi myśl, zostawić cię twojemu losowi, i nie mogę pojąć, dlaczegom tego już dawno nie zrobiła!

— Bo nie możesz.

— Mogę! Niech wszystko wyjdzie na jaw, a pokaże się, że podrobiłeś nietylko podpis Tadeusza, ale i mój. Będę miała chwilową nieprzyjemność, ale ostatecznie za to odpowiadać nie mogę, ani mi to nie ubliża, że ktoś mię podpisał na wekslu.

— Ale rzeczoznawcy sądowi poznają, że podpis jest prawdziwym.

— Jakto, prawdziwym? Wszak Karol zwrócił mi weksel z prawdziwym moim podpisem, siedm lat temu!

— Nie, przypatrz mu się, jeżeli go ma z jeszcze. Ten właśnie podpis był fałszywy, przerysowany do okna. Weksel, który mi dałaś przed twoim ślubem, ja sam wykupiłem od Bergera, a ponieważ później potrzeba mi było więcej pieniędzy, a blankiet na szczęście nie był wypełniony głoskami, i nie miał daty, więc z pięciu tysięcy zrobiło się piętnaście, i Berger ma ten cyrograf u siebie. Czytałem w sprawozdaniach z rozpraw sądowych, że rzeczoznawcy umieją odróżnić prawdziwe podpisy od najlepiej podrobionych. Mierzą kąty między kreskami, jeżeli podpis robiony jest z wolnej ręki, przypatrują mu się przez lupę, jeżeli jest kalkowany. W tym drugim wypadku, odkrywają z łatwością, iż kreski z początku lekko naszkicowane, były później wygrubione; jeżeli tego nie znajdą, podpis oczywiście robiony jest swobodnem pociągnięciem pióra, a w takim razie, decyduje względna pochyłość kresek, ich zaokrąglenie, itd. jednem słowem to, co nazywają *duktem* pióra. Wówczas rzeczoznawcy orzekają, że według najlepszego ich rozumienia, podpis jest prawdziwy, i musieliby orzec to o twoim podpisie, chociaż ze słów „Helena Podwalska“ zrobiłem później „Helena z Podwalskich Zamecka.“ Użyłem wszakże zupełnie podobnego atramentu, a weksel nosi datę roku, w którym nie mogłaś jeszcze nauczyć się podpisywać jednostajnie, tym samym *duktem*, rozumiesz, twojego nowego nazwiska jako pani Zamecka. Rzeczoznawcy trzymają się tego prawidła, że tożsamość pisma da się stwierdzić najdokładniej według tych zgłosek alfabetu, które się pisze najczęściej, a więc, po głoskach nazwiska, które jak w tym wypadku, pisało się przez lat dwadzieścia z górą. Z tego wynika, że gdyby mię nawet przekonano o podrobienie podpisu Zameckiego, to jednak wszelkie prawdopodobieństwo przemawiałoby za tem, iż ty podpisałaś się sama.

Pani Helena słuchała tego wywodu kryminalistycznego z natężoną uwagą, kilka razy jakiś okrzyk zgrozy chciał wydobywać się z jej piersi, ale go stłumiła. To, co mówił p. Alfred, było przekonywującem, niedawno bowiem pisma perjodyczne opisywały obszernie rozprawę sądową o fałszerstwo, w której okazała się rozstrzygającą opinja rzeczoznawców, oparta na szczegółach, o których wspominał p. Zgorzelski. Mimo to, a może właśnie dla tego, wykrzykniki tego rodzaju, jak np. Potwór! Złoczyńca! byłyby zupełnie odpowiadały sytuacji. Na inne wszakże tory skierować się musiała myśl pani Heleny, skoro zamiast czynić wyrzuty panu Alfredowi, zawołała z rodzajem rozpaczliwej rezygnacji w głosie:

— Ha, fatalność jakaś robi mię twoją wspólwinną! Jesteś moim złym genjuszem, ty, i ona także! Byłeś u Drozdowskiej i u Karola? Pytałeś się, widziałeś ją?

— Tak. Nie ma najmniejszej wątpliwości.

— Więc piekło narzuca mi to stworzenie, które odepchnęłam, gdy przyszło na świat! Więc cała hańba, całe upokorzenie, którego unikałam, przeciw któremu broniłam się wszelkiemi siłami, spada teraz na mnie w postaci najwstrętniejszej, najnieznośniejszej! Więc ten człowiek, który mię gniótł, który mię zabijał tak długo swoją urojoną, powszednią, niesmaczną wyższością, taką broń na mnie ma w rękach! Chce, ażebym mu padła do nóg, ażebym mu ze łzami w oczach dziękowała, jak za dobrodziejstwo, za to że raczył wdeptać mię w proch, zamienić w pokutującą Magdalenę, w czułą.... matkę! Domyślałam się tego od kilku dni, Alfredzie, nie powiedziałeś mi nic nowego, choć dotychczas szaleję na myśl, jak to zniosę! I czy ty wiesz, co oni zamierzają zrobić z tą?...

— Z twoją córką?

— Milcz! Tobie to właśnie z flegmą wygłaszać słowo, którego słyszeć nie chcę! Nie chcę, rozumiesz mię? Nie próbuj podnosić głowy tam gdzie mnie schylać ją każą, bo cię strącę tak nisko, jak na to zasługujesz! Nie zapominaj, że jesteś tchórzem, i że nie możesz mierzyć się ze mną!

— Ależ, Helenko... jąknął p. Alfred. Kobieta, którą widział przed sobą, imponowała mu zawsze, ale w tej chwili, z roziskrzonym wzrokiem, z szaleństwem i wściekłością w wyrazie twarzy i z namiętną determinacją w głosie, była w istocie straszną, i uląkłby się jej był odważniejszy od p. Alfreda.

— Dosyć tego! Chciałam ci powiedzieć, że oni jej myślą zapisać majątek, cały majątek?

— Kto, oni? zapytał p. Alfred nieśmiało.

— Zamecki i Karol. Słyszałam to z ust Karola. Jeżeli Zamecki wykona zamiar, nim go zadusi astma, albo jeżeli nie zdołam zniszczyć testamentu, jedyna nadzieja, jaką się łudziłam zniknęła. To przeklęte stworzenie, wygrzebane gdzieś z pod śmiecia, w ten sposób staje między mną a wszystkiem czem być i co mieć mogę! Po latach tajemnego upokorzenia, po latach kajdan nieznośnych spodziewałam się zostać sama, z majątkiem, dla którego tyle zniosłam, i z tobą nareszcie. Oni mi gotują skromny los wdowi, z nowemi u nóg pętami, cięższemi od znienawidzonego męża! Gotują mi ciągły wyrzut, któryby mnie ani na krok nie odstępował, któryby świadczył przeciw mnie, gdziekolwiek stąpię! (C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

Najstarsze ślady istnienia człowieka w Europie.

(Ciąg dalszy).

Okres Mamuta.

Jakkolwiek według najświeższych, a rzec można najgorliwszych dociekań antropomorficznych — czyli wyszukiwań małp najpodobniejszych budową do kształtów ciała ludzkiego — znajduje i stwierdza się to podobieństwo — choć oczywiście szczegółów tylko pewnych — to wszelako wyznać musimy, że nawet najniżej stojące, upośledzone pod względem rozwoju rasy ludzkie tegoczesne — stoją jeszcze o wiele wyżej od ras małp podobnych do ludzi. Wyższość ich mianowicie bijąca w oczy pod względem uzdolnienia duchowego — i nie dorównywa pod tym względem żadna rasa małp ze znanych dziś a mających wielkie podobieństwo do człowieka, jak Gorylli, Szympansa i Orangutana, pomimo że te gatunki za młodu zdradzają wiele zdolności wyższych, ale też tylko za młodu.

Oczywista, że nasuwa się tu usprawiedliwione pytanie: czy ten rozdział nieprzeparty pomiędzy duchowem uzdolnieniem człowieka a niedołęstwem małp najwięcej do niego zbliżonych istniał zawsze — czyli też w tem przyczyna, że człowiek z pierwotnego stanu dzikości podniósł się stopniowym rozwojem? Być może, iż następujące poniżej wyjaśnienia będą w stanie choć częściowo przyczynić się do rozwiązania tego zagadnienia. Ażeby wyjaśnienia te zacząć, wrócić musimy do najstarszych naszych praszczurów, do człowieka z okresu słonia mamutowego i niedźwiedzia skalnego.

Postać ludzka pierwotnego mieszkańca Europy, człowieka przedhistorycznego, o ile z badań wypływa, była niewielkiego wzrostu, a nawet dość mała. Oczom naszym przedstawia się plemię ludzkie bardzo jeszcze upośledzone. A rozpowszechnione dziś mniemanie, jakoby generacja historyczna, obecna, była pod względem moralnym i fizycznym zdegenerowana — nie znajduje wcale potwierdzenia. Przeciwnie, mamy niezbite podstawy — sądzić i wierzyć wręcz przeciwnie, i niejeden zapewne stanąłby zdumiony widokiem, wiernym wizerunkiem pierwotnego Adama i Ewy.

Wprawdzie słyszeliśmy i czytali nie mało o ludzkich olbrzymach, tam i ówdzie wygrzebanych za dawnych czasów, a nawet i w czasach świeższych, ale cóż z tego, kiedy po bliższem, naukowem zbadaniu okazywało się prawie zawsze, że te olbrzymie resztki człowieka domniemanego, to istotnie tylko kości mamuta albo nosorożca. Ciekawsze jeszcze, że i sławny skielet wykopany w tryasowych pokładach łupku wapiennego, który to skielet został przez zasłużonego zresztą szwajcarskiego naturalistę Scheuchzera uznany za szczątki ludzkie i nazwany przezeń: „Homo Diluvii testis“ — że i ten skielet skamieniały okazał się czem innem zupełnie, a mianowicie szczątkami olbrzymiej Salamandry. Na ten skielet złożył był jednak djakon Miller wiersz bardzo budujący poczynający się od słów:

—O! smutny ty skielecie z grzesznika starych kości,
Kamienne rozkrusz serca dzisiejszych dzieci złości!

A mimo to, jakeśmy powiedzieli, skamieniałość ta okazała się szczątkiem Salamandry, której gatunek do dziś ma reprezentanta żywego w żyjącej salamandrze olbrzymiej, przebywającej w Japonji. Do dziś nawet wielu jeszcze upatruje w każdym szczątku znalezionym w górach szwajcarskich, resztki ludzkie z czasów potopu. Tak to uporczywie utrzymują się stare przesądy, pomimo że umiejętność wykazała bezzasadność podobnych w erzeń.

O stopniu uzdolnienia duchowego o wiele więcej dowiedzieć się możemy ze szczątków na-

*

rzędzi, znajdowanych z owych pierwotnych czasów istnienia przedhistorycznego człowieka, niż ze szczątków czaszek, kości i szczęk ludzkich.

Pierwotni ci ludzie posiadali oprócz buzdyganów i proc, jeszcze i inną broń, choć surową, a mianowicie noże kamienne i groty do dzid, obrobione tylko twardym kamieniem lub główkowatym jaspisem. Naczynia garncarskiego ani śladu nigdzie, toż samo i kruszcu żadnego nie spotykamy. Przydłużone kości pośladków zwierzęcych znajdują się rozłupane wzdłuż, widocznie po to, ażeby dobyć z nich szpik na pożywienie, a prawdopodobnie także tłuszcz na użytek inny. Oswojanie dzikich zwierząt zdaje się nie miało jeszcze miejsca, nawet konia nie zażywano ani do zaprzęgu, ani też jako wierzchowca. Człowiek żył dzikiemi owocami puszcz leśnych, żył dziczyzną upolowaną i rybami. Jaskinie były dlań mieszkaniem i to najczęściej u stoku skał niedostępnych, jak je naprzykład widać nad brzegami Lesse'y koło Namur.

Jak sobie dawał rady pierwotny człowiek z takiemi potworami, jak mamut i nosorożec? Chwytano je prawdopodobnie w jaskiniach, jak to i dziś jeszcze bywa; inne niebezpieczne zwierzęta duszono może zarzucając arkany na szyję. Cóż bowiem mógł począć człowiek z niedołężną bronią z kamienia w obec naprzykład niedźwiedzia albo dzikiego byka, które i dziś pomimo wydoskonalonej broni napełniają nas jeszcze przerażeniem. Chcąc sobie zdać sprawę, jaki to lud walczył i z jakiemi niebezpieczeństwami, musimy wystawić sobie dzisiejszych Eskimosów, mających do walczenia również nietylko z dzikiemi zwierzętami, ale i z podobnym wilgotnym, zimnym, lodowatym klimatem. Mamuta i nosorożca chronił od niezwykłego zimna obfity włos wełnisty. Doszło nawet mozolne badanie, że potwory te żywiły się latoroślami sośniny, gdyż pomiędzy zębami przechowanych okazów wspomnianych zwierząt, znaleziono resztki szpilkowej zieleni, pochodzącej z sosen. Myliłby się, ktoby chciał sądzić o północnej kuli klimacie z faktu, że dzisiejszem miejscem pobytu nosorożca są okolice południowe. Do dziś bowiem tygrys bengalski przeciąga przez okolice Azji leżące pod 52° szerokości północnej, a nawet hyena i lew zapędzają się niekiedy w okolice śniegów i lodów.

Jakkolwiek niezgrabną, surową była broń pierwotnych ludów ziemi, to jednak przyznać trzeba, że nosi i ślady pewnej zręczności w obrobieniu i użyciu. Ciekawa bowiem rzecz, czy kto z nas ucywilizowanych, a rzuconych przypadkiem na bezludną wyspę, czy pytany potrafiłby sobie praktyczniej i zmyślniej radzić będąc pozbawionym wszelkich narzędzi żelaznych i tego co wytworzyła już cywilizacja. I sposób grzebania zresztą nieboszczyków u ludów pierwotnych dowodzi także pewnych zdolności umysłowych, pewnego nawet stopnia kultury. Co przytem zdumiewającego odkryto, to ślad widoczny, że ludy te wierzyły w istnienie świata drugiego po za grobem.

Otóż z dotychczasowych mozolnych badań a skąpych szczegółów — tyle zdołano odkryć najstarszych śladów istnienia człowieka w Europie. Najstarsze one wprawdzie tylko co do okresu przedhistorycznego, gdyż w geologji perjod to najświeższy, ale zawsze jeszcze sięgający wstecz wiele tysięcy lat. A najwybitniejszemi stworzeniami z owego okresu życia pierwotnych ludów były: mamut, nosorożec, bawół, jeleń olbrzymi i niedźwiedź skalny. Dla tego też ten najstarożytniejszy (względnie o ile dotyczy człowieka) okres, nazywa się okresem mamuta, jako stworzenia najbardziej wówczas rozwiniętego.

Ale — z tem wszystkiem zniewoleni jesteśmy wyrzec: niestety! Niestety — darmobyśmy pracowali usiłując dopatrzyć w tych najstarszych ludziach śladów owej doskonałości, którą według podania tradycyjnego i wiary powszechnej — wziąć mieli dziedzictwem od pierwszych swoich rodziców w raju. Zaiste, pięknie, uroczo uśmiecha się do nas ten raj, ale tylko z historji biblijnej i z płócien przeobrażonych w obrazy wprawną ręką artystów. Dla geologa jednak dojrzewały powabne owoce owego prawdziwie rajskiego okresu w czasach o wiele zamierzchlejszych — w pośród bogatej i bujnej wegetacji okresu środkowo Tryasowego, po którym nastąpiła gromada węgla brunatnego. W owych czasach zdobiły naszą półkulę północną palmy i cedry, a zamiast człowieka królowała może małpa jako najdoskonalej rozwinięta istota a może... może i mniej jeszcze od małpy dzisiejszej doskonały człowiek.

Staraliśmy się postępując krok za krokiem dobadać śladów istnienia człowieka w Europie w czasach najstarszych, ale nie koniec na tem, bo jakeśmy wspomnieli, czasy względnie najstarsze — poniekąd tymczasowo najstarsze.

O powolnym a długie wieki trwającym rozwoju materjalnym i o udoskonaleniu duchowem nabierzemy dopiero wtedy dokładnego pojęcia, gdy przejrzemy przynajmniej pobieżnie i świeższe okresy po owych tymczasowo najstarszych. Będą to czasy poprzedzające okres historyczny rodu ludzkiego. (C. d. n.)

POGADANKI.

XXXVIII.

Wyższość cywilizacji chrześcijańskiej ponad wszystkie dawniejsze i współczesne zbyt jest niezaprzeczoną, by o niej nawet niechrześcijaninowi znającemu cokolwiek historję powątpiewać było wolno. Potrzeba wszakże wyznać, iż niektórzy rycerze chrześcijańscy w dość dziwny sposób biorą się do dzieła, jeżeli pragną innowierców przekonać o tej wyższości. Onegdaj opowiadały dzienniki fakt, który mimowoli myśl tę nasuwa. Jakaś pani z dziećmi jechała koleją żelazną, w towarzystwie małych dzieci. Trzech panów siedziało z nią w tem samem *coupé*, i doznała z ich strony obelg nietylko ustnych, ale i czynnych. Nie ujęła się za nią służba kolejowa, nie obroniła jej ani jej płeć, ani obecność małych dzieci, a wszystko to stało się dla tego, że pani ta — była żydówką. Na nieszczęście, dzienniki nie dodają wcale, że ci trzej panowie byli junkrami pruskimi, owszem, z wszystkiego wynika, że byli naszymi krajowcami — nie mówię rodakami, bo wstyd już przyznać się do politycznego współobywatelstwa z motłochem podobnym, a cóż dopiero do jednego z nim pochodzenia! Wypadek podobny powinien wywołać jeden okrzyk oburzenia, jak daleko o nim wiadomość dójdzie, tak, by skóra drżała na jego bohaterach. Na wszelki wypadek nie radziłbym im podróżować w jednem coupé z żydówkami i dopuścić się podobnego wybryku w kraju, gdzie służba kolejowa pełni swoją powinność, i gdzie kobietą opiekuje się nie średniowieczna rycerskość, nie urojona wyższość rasowa, nie prasa schlebiająca w znaczniejszej swojej części namiętnościom tłumu, ale prawdziwie demokratyczna oświata XIX. stulecia. W każdym takim kraju wytropienie i ukaranie dorosłych pauprów, insultujących kobiety, zajęłoby wszystkie umysły, nie pisanoby, nie rozprawianoby w klubach i ciałach reprezentacyjnych o niczem innem, jak tylko o hańbie spadającej na ogół ztąd, iż podobnie dzikie indywidua mogą nietylko znajdować się w jego łonie, ale nawet broić bezkarnie. Pomimo płaczu i wołania o pomoc, pomimo prośb o przeniesienie jej do innego wagonu, pani, o której mówimy, nie znalazła opieki. Rumienić się potrzeba na myśl, że przecież niepodobieństwem jest, ażeby cały ów pociąg kolei żelaznej zajęty był przez Prusaków, i co gorsza, że nawet między junkrami pruskimi byłby się przecież znalazł choć jeden, któryby sobie był przypomniał, że słabemu i bezbronnemu powinno się przyjść w pomoc, chociażby urodzenie i chrzest nie uczyniły przystępnemi innych dobrodziejstw chrześcijaństwa. Przedewszystkiem zaś rumienić się powinni ci, którzy prostackiem łajaniem w swoich pismach i drażnieniem bez sensu i celu, w umysłach pospólstwa (używającego rękawiczek) rozdmuchują niewygasłe w nich instynkta nieokrzesanego barbarzyństwa i dzikiej ciemnoty.

Nie myślę ja bynajmniej przeczyć, że mógł się nader łatwo wydarzyć wypadek wprost odwrotny. Między żydami przebranymi po europejsku i wskutek tego posądzanymi o wyższy stopień oświaty znajdzie się sporo gburów i prostaków, jak się o tem niestety codzień, zwłaszcza na miejscach przechadzek publicznych przekonać można. Strój europejski nie stanowi bowiem Europejczyka, a najgłówniejszą cechą Azjaty jest poniewieranie kobiety. Widziałem już Europejczyków w chałatach, a teraz widzimy Azjatów chrzczonych i chełpiących się europejskiem pochodzeniem, których postępowanie ich kwalifikuje raczej na siepaków Murawiewa. Jeżeli *szmajgeles* hebrejskiej krwi razi *Szczutka* i każdego z nas bezprzykładną swoją arogancją i brakiem rzeczywistego poloru, to *szmajgeles* wiodący swój ród od najstarszych Sarmatów i najdzielniejszych obrońców krzyża jest czemś więcej niż nieznośnym i śmiesznym, jest po prostu egzemplarzem plugawiącym naród, do którego się przyznaje.

Może niektóre rozpamiętywania tego rodzaju staną się powodem, że pewne pisma zmienią swój ton w kwestji żydowskiej. Nie można wymagać od nich, ażeby się nawróciły do pojęć postępowych, albo też, ażeby wyliczając krzywdy, jakich doznajemy od żydów, wyliczały także i te, jakich żydzi od nas doznają — ale można wymagać innego sposobu wysławiania się, można wymagać, ażeby dyskutując, nie szczwano. Wszak np. *Czas* z pewnością nie jest radykalnem pismem, obraziłby się nawet, gdyby go posądzono o liberalizm, ale jeżeli szerzy zapatrywania się wsteczne i nietolerancję religijną, to przynajmniej nie apeluje do ulicy, nie rozmija się z przyzwoitością i tem samem, drugich rozmijać się z nią nie uczy. Oby i do Lwowa zawitało opamiętanie, nim będzie za późno, i nim w całym świecie palcami nas wskazywać będą jako barbarzyńców!

* * *

Z „Pogadanki“ o tem i o owem zrobiłaby się długa rozprawa o kwestji żydowskiej, gdyby mi brak mieisca nie przypominał, że wolno mi takie sprawy traktować tylko aforystycznie. A więc, spróbujmy parę aforyzmów.

Kwestja żydowska potrzebuje załatwienia, to rzecz krótka i jasna.

Kwestję żydowską można załatwić dwojakim sposobem: potrzeba albo wyrżnąć lub wypędzić żydów z kraju, albo też rozbić ich solidarność.

Wyrżnąć ani wypędzić żydów nie można, bo — nie można, a potem, bo i nie godzi się, bądź co bądź. Czy nieprawda?

Potrzeba tedy rozbić solidarność żydów, która jest trojaką. Żydzi solidarnymi są jako plemię, solidarnymi jako wyznanie, solidarnymi nakoniec jako stan — stan kupców, finansistów, i przemysłowców, najgłówniejszy odłam naszego średniego stanu.

Solidarność żydów jako stanu finansistów rozbija się przypuszczeniem ich do innych zawodów.

Solidarność żydów jako współwyznawców rozbija się indyferentyzmem religijnym.

Solidarność nakoniec rodowa żydów, rozbija się przyswajaniem ich powolnem, tj. przyswajaniem indywiduów sposobnych ku temu.

Pierwszą i drugą z tych czynności wykonuje za nas i bez naszego przyczynienia się duch czasu.

Rozbicie trzeciego gatunku solidarności zostawione jest wyłącznie nam samym. Ażeby wykazać, jak racjonalnie bierzemy się do dzieła, opowiem zdarzenie, za którego prawdziwość ręczę.

Trzy ładne panieneczki, od ośmiu do jedenastu lat wieku, elegancko ubrane, doskonale prowadzone i mówiące wybornie po polsku, nawet nie inaczej, jak tylko po polsku, bawiąc się w ogrodzie, proponują czwartej panience, ażeby wzięła udział w ich zabawie.

— Ja nie mogę bawić się z wami, bo wy jesteście Żydówki.

— Nie, my Polki.

— O, wiem ja dobrze! Mama mi mówiła, że wy Żydówki.

Zdziwione panienki popatrzyły po sobie i pobiegły do matki.

— Mamo, tamta dziewczynka mówiła, że my jesteśmy Żydówkami. Czy to prawda?

Było to prawdą, ale dokąd my nie żydzi zajdziemy, wychowując nasze dzieci w ten sposób?

Pytanie to jest tak ważnem, że aby zostawić szanownemu czytelnikowi czas do zastanawiania się nad niem, kończę.

Jan Lam.

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

III.

Droga do Loboré.

Przybywając okolicę Madi, znaleźliśmy te strony dawniej kwitnące i zaludnione, uprawiane troskliwie przez rolniczych mieszkańców, dziś w stanie opuszczenia, świadczącym o bezprawiach handlarzy Białego Nilu. O dwadzieścia pięć mil od Loboré płynie rzeka Asua, łącząca się w tem miejscu z drugą zwaną Attabi, poczem biegnie w głąb pięknego lasu. Wody jej zamulone przez spadłe deszcze w okolicach Madi i Schuli, w najgłębszych miejscach nie przechodziły dwie stopy i sześć cali. Koryto jednak jest od brzegu do brzegu szerokie 120 łok. ang. i w czasie deszczów strumień spokojny zamienia się w potężną rzekę, stawiającą nieprzezwyciężoną zaporę do przebycia dla wojska obciążonego bagażami. Na wyżynie kilka mil odległej od rzeki Asua i wznoszącej się na 1.000 stóp nad jej poziom, roztwiera się piękny krajobraz łagodnie zaokrąglonych wzgórzy, ciągnących się jednym łańcuchem przez okolicę Latuka, pięćdziesiąt mil odległą na wschód. Z drugiej strony Nilu rysuje się olbrzymia góra Neri, napiętrzona skałami, które w stopniowo układanych terasach, zbiegają się w ciasny przesmyk, gdzie Nil wpadając, rozbija się w licznych kaskadach. Byliśmy na szczycie skały i zatrzymawszy się chwilę dla sprawdzenia kompasu, spuszczaliśmy się dość stromą pochyłością, ciągnącą się kilka mil, a zstępując do wąwozu okoliliśmy skalistą górę. Ztamtąd po prawej ręce odsłonił nam się widok obiecanej ziemi. Biały Nil szeroką wstęgą srebrzystą płynął spokojnie, nieprzerwany żadnym wodospadem; chaotyczność jego zaczynała się dopiero dalej; tu natomiast był zaledwie jego początek, gdyż w pełni wód swoich wypływał z Albert Nyanza, jeziora oddalonego o jeden stopień długości geograficznej.

Na to miejsce pragnąłem oddawna doprowadzić moje parostatki, i założywszy stację otworzyć środkową Afrykę dla nawigacji. Z prawdziwym bolem serca patrzałem teraz na piękny krajobraz, rozmyślając nad przeszkodami, które mi nie pozwoliły dopiąć tego celu. Weszliśmy na równinę, którą nazwałem Ibrahimeyah na pamiątkę ojca wice-króla, Ibrahima Paszy. Punkt ten jest przeznaczony na stolicę centralnej Afryki, mającą stanąć w przyszłości.

Okolica obfituje w zwierzynę i ilekroć zatrzymaliśmy się dla wypoczynku, mogliśmy zawsze ubić jaką tłustą sztukę. Wracając raz z takiej wycieczki ze ślicznym kozłem z rodzaju Antylop-Bubalis, usłyszeliśmy wielki hałas w głębokim i skalistym wąwozie, w którym płynął strumień obdzielający nas dość skąpo wodą. Poszedłem z ciekawości zobaczyć co się tam działo, a doszedłszy do brzegu wąwozu, ujrzałem naszych 400 tragarzy, kłócących się nad krwią oblanym i rozpłatanym bawołem. Nie widząc ludzi, bawół spuścił się do strumienia, gdzie co dzień rano zaspokajał pragnienie, i podpatrzony w swojej czynności, padł pod dzidami Loborejczyków, które oni ze skał rzucali. Teraz wszyscy zgromadzeni nad ubitym zwierzem wydzierali sobie z krzykiem kawały mięsa, z któremi uciekali jak psy ze skradzioną kością.

Zdarzenie z bawołem było dla nas bardzo niekorzystne, tragarze bowiem zaopatrzeni w żywność mogli wrócić do domu, co też trzydziestu z nich bez namysłu uskuteczniło. Widząc to, kazałem przewodnika i syna szejka związać razem rzemykiem przeciągniętym przez obrączki zdobiące ich szyje, i zapowiedziałem im, że zostaną rozstrzelani, jeżeli jeszcze bodaj jeden człowiek ucieknie pozostawiając swój ładunek. Groźba ta wywarła pożądany skutek, i żaden się więcej nie oddalił. Byliśmy już tylko sześć mil od Fatiko, i stając na noc kazałem na drugi dzień całej armji ubrać się w pełny uniform, żeby przyzwoicie ukazać się w głównej stacji handlarskiej, gdzie prawie na pewno spodziewałem się spotkać z Abou Saoodem, który zamiast do Khartum udał się był w głąb kraju.

IV.

Przybycie do Fatiko.

O piątej zrana, 6. marca 1872 r. zwinąwszy nocny obóz rozłożony u stóp góry Schua wyruszyliśmy w pochód ku Fatiko. Armja postępowała raźno i wesoło, ubrana w czerwone mundury z białemi szerokiemi spodniami, które żywo odbijały od tła świeżej zieloności. Nieprzyjaciela nie było; a że z poprzedniego naszego pobytu w okolicy Schua ja i moja żona byliśmy tu dobrze znani, czułem więc, że zostaniemy radośnie przyjęci. Krajowcy wiedzieli, że byłem dobrym myśliwym, a ja obdarzając ich zwykle mięsem, utorowałem sobie drogę do ich serc, która u Afrykanów zawsze prowadzi przez żołądek.

Postępując w porządku, szliśmy przez uroczą okolicę, ustrojoną w piękne skały, przerzynane zielonemi wąwozami, nad któremi drzewa okryte świeżym liściem, uroczo odbijały od szarych odłamów granitu. Wstępując na zieloną przestrzeń, tworzącą rodzaj przestronnej terasy, ukazaliśmy się nagle oczom mieszkańców Fatiko niespodziewających się zupełnie podobnego widoku.

Po prawej naszej stronie terasa kończyła się piętrzącym wałem granitu, który niby olbrzymie ciało wieloryba, spoczywał szarą masą trzy ćwierci mili długą a 100 stóp wysoką. Południowy kraniec tego wspaniałego odłamu z czystego granitu dotykał skalistej góry Fatiko, porośniętej pięknym budulcem, u stóp której rozpościerała się duża wieś. Wprost nas, ciągnęła się równa płaszczyzna, zakończona granitowemi górami i grupami płaczącej akacji.

Odgłos trąb i bębnów odbijając się o skały oznajmił mieszkańcom nasz pochód. Zsiadłszy z konia przez lunetę obserwowałem zachowanie się obozu handlarzy, chcąc dostrzedz wrażenie, jakie na nich sprawi nasze zjawienie się w tych stronach. Za pierwszym odgłosem trąbki ludzie wybiegli ze zdziwieniem wpatrując się w bijący szkarłat mundurów, który z oddalenia sprawiał wrażenie wielkiej siły; za chwilę w całym obozie zrobił się wielki zamęt, ukazała się znaczna liczba niewolników pędzonych w stronę południową, poczem uderzono w bębny, i wyruszył tłum ludzi z rozwiniętemi flagami koloru czerwonego, stając w długim szeregu u samego wnijścia do wsi. Wkrótce dostrzegłem krajowców wybiegających z dzikiemi ruchami, uzbrojonych w dzidy i tarcze i zbierających się w różnych punktach. Było widocznem, że nasze nagłe przybycie sprawiło wielki popłoch. Tymczasem pozostała w tyle służba, tragarze z rzeczami i bydłem nadciągnęli za nami stając w porządku, a banda moja zagrała turecki marsz, którego dzika melodja wybornie harmoniowała z otaczającym nas scenicznym obrazem. Jednocześnie ujrzałem dwóch ludzi podsuwających się ku nam z obozu handlarzy; obaj byli brudni i obdarci, ubrani w ciemno brązową skórę. Za zbliżeniem się, jeden z nich jakby się wahał, stanął o sześćdziesiąt kroków pytając co my za jedni. Odebrawszy odpowiedź od pułkownika Abd-el-Kadera, że jestem Pasza, i że nie potrzebują się obawiać, oznajmił nam obecność Abou Saooda w stacji, i coprędzej wrócił, aby go zawiadomić o naszym przybyciu. W tym czasie drugi posłaniec przysuwając się nieśmiało do nas stanął tuż koło mnie. Zaledwie go poznałem,

był to mój dawny służący z Kairu, Mohamed, wielki dragoman dolnego Nilu. Moja żona jechała na koniu obok mnie i na widok naszego starego znajomego zawołała: — „Ach, Mohamed! jak się masz! Ale w jakimże ty stanie się znajdujesz?“ Tego było już za wiele dla poczciwego Mohameda, to też wybuchając łzami ucałował ręce mojej żony. Biedny człowiek przeszedł gorzkie koleje losu od chwili, gdyśmy się z nim rozstali. Zostawiłem go był w Khartum chorego na gwinejskiego raka w nodze; po moim odjeździe został wciągnięty do szeregów kompanji handlarskich, i przystał do tego haniebnego rzemiosła w nadziei dobrego powodzenia. Tymczasem rzeczy miały się wręcz przeciwnie. Zwyczajem handlarzy było płacić swoich ludzi nie pieniędzmi, lecz niewolnikami, a że biedny Mohamed nie był ulubieńcem kobiet, wszystkie więc niewolnice uciekały od niego zostawiając go nędzarzem.

Podczas gdyśmy tak stali, kilku krajowców zbliżyło się, a poznawszy nas ruszyli ucieszeni do wsi, aby zanieść swoim dobrą wiadomość; my zaś szliśmy coraz dalej w porządku, tworząc wcale pokaźny widok zastępu, złożonego z 212 dobrze umundurowanych żołnierzy, całego szeregu postępujących tragarzy z ciężkiemi ładunkami i licznego stada zdążającego z tyłu. Przybycie nasze z tak dobrze zorganizowanym oddziałem, było fatalnym ciosem dla nadziei i intryg Abou Saooda; znajdawałem się teraz w samym centrum jego operacji, mimo tylu stawianych mi przeszkód. Niebawem zjawił się sam Abou Saood, i po wielu ukłonach, z właściwą sobie kłamaną uniżonością zaprosił nas byśmy spoczęli w chacie, którą właśnie dla nas kazał przysposobić. Podziękowałem za grzeczność, zamierzając rozlokować się pod cieniem dużej akacji, wyrastającej u stóp skalistego podnóża góry, gdziem lat temu kilka, miał rozbity namiot. Posunęliśmy się zatem trochę dalej, zatrzymując się w pięknem miejscu okolonem ścianami napiętrzonego granitu, w pośród którego wyrastała olbrzymia akacja. Abou-Saood kazał swoim ludziom przynieść z obozu dla moich oficerów kilka dachów zrobionych ze związanych palów i słomą pokrytych, żołnierze i tragarze wystawili sobie wkrótce tymczasowe schronienia, a stado zostało pomieszczone w miejscu, gdzie dokoła wznoszące się skały tworzyły rodzaj naturalnego amfiteatru.

Na drugi dzień urządziłem krajowcom wielkie widowisko, uprzedziwszy ich przedtem o zamierzonej mustrze wojskowej, i armja moja wyprawiła w ich oczach świetny atak na góry Schua. Rozpoczynając rotowym ogniem, posunęli się w dwóch kompanjach do przeciwległych krańców góry, a wdarłszy się na nią z wielką zręcznością stanęli łącząc się na płaskim granitowym szczycie. Krajowcy nie posiadali się z radości. Ztamtąd wystrzeliwszy jeszcze kilka razy, żołnierze schodzili wolno po spadzistych bokach góry z muzyką na czele. Banda nasza, złożona ze znacznej ilości trąb, bębnów, cymbałków, z dodatkiem dużego basowego bębna, w Europie nie sprawiłaby pewnie miłego wrażenia, ale w Afryce gra jej była pełna uroku.

Krajowcy są wielkiemi miłośnikami muzyki, i zdaje mi się, że najbezpieczniej podróżowałby ten po tych dzikich krajach, ktoby bezustannie mógł wygrywać na trąbie skoczne kawałki. Uliczny nasz katarynkarz w Afryce wzbudziłby szalony entuzjazm, i mógłby w licznem otoczeniu zachwyconego tłumu, wzdłuż i wszerz przejść okolice Nilu.

Gdy wojsko wróciło do kwatery, muzyka stając pod drzewem, wykonywała jeszcze najweselsze utwory, i niebawem pojawiły się kobiety przyciągnięte nieprzepartym urokiem muzyki. Wybiegając z różnych stron wsi, zleciały się jakby magnetycznie przyciągane do naszego obozu, i tam owładnięte urokiem tonów przybrały pełne powabu (w ich pojęciu) postawy, i tańcząc zbliżały się do grającej bandy. Wkrótce trębacze, zaledwie mogli wstrzymując się od śmiechu dąć dalej w swoje instrumenta, widząc coraz oryginalniejsze pozy i skoki licznego grona kobiet zwiększającego się z każdą chwili.

W całej okolicy Schuli strój kobiet składa się z obrączki na szyi i nogach, a czasem ze sznurka paciorków wymienionych u handlarzy, lub kiści z włókień kory drzewnej, która przywieszona z tyłu, naśladuje wybornie ogon koński. Widok zatem nagich kobiet, gdy upojone zachwytem muzyki w dziwacznych układały się postawach, był co najmniej śmiesznym. Małe dzieci musiały dzielić szał swoich matek, które bez najmniejszego względu na delikatność ich trzęsących się szyjek, wyskakiwały z niemowlętami, które przewieszone przez plecy wyglądały z wydrążonej dyni jak młode żółwie. Podobne pod tym względem do wielu poważnych wiekiem kobiet cywilizowanego świata, stare Wenery afrykańskie z większym jeszcze zapałem aniżeli młode dziewczęta oddawały się tańcom, stając się podwójnie śmieszne przez usiłowane nagięcia zesztywniałych członków do lekkich ruchów młodocianego wieku. Mężczyzni nie brali udziału w tej zabawie; przypatrując się z wysokości pobliskich skał skocznym wysileniom swoich żon i córek, przysłuchiwali się tylko z zachwytem dzikiej muzyce. (C. d. n.)

Listy z Krakowa.

(Dokończenie).

Kraków d. 6 Września 1875.

Wróćmy jednak do ruchu literackiego, który w sierpniu zaczął się już ożywiać a pod koniec ubiegłego miesiąca z całą gwałtownością wybuchnął z powodu *Filozofji dziejów* p. Walewskiego. Poeta nasz Lenartowicz został gościnnie przyjęty w Krakowie. Natychmiast zawiązał się komitet, który usiłował przyjęcie poety jak najświetniejszem uczynić. Dnia 7go w sobotę p. m. danym został świetny objad. Wzięły w nim udział wszystkie znakomitości znajdujące się w mieście; licznie była także reprezentowaną młodzież, z których kilku przemawiający podczas uczty do łez rozczulili poetę. Zaraz zaczęto się krzątać około albumu z fotografjami uczestników uczty; dzienniki podniosły sprawę zupełnego wydania poezji poety, lecz ponoś to groch rzucany o ścianę. Księgarze krakowscy nie mają ducha przedsiębiorczego. Czasem tylko zrobią *un coup d'état* i wydadzą na bibule *Przewodnik po Krakowie* lub *Nabożeństwo majowe*—lecz i to bardzo się rzadko zdarza, a w każdym razie bywa poczytywane za wielki wybryk wydawniczy.

Jeden tylko p. Dygasiński, od niedawna właściciel księgarni, nie wstępując w ślady kolegów, coraz to nowe ogłasza wydawnictwa, chociaż nie robi na nich interesów, a może chwilowo nawet traci, lecz nie wątpimy, że prawdziwa i rzetelna praca musi kiedyś odnieść skutek. — Nakładem tejże księgarni wyszło w tych dniach z pod prasy dobre tłumaczenie znakomitego dzieła Rovaniego p. t. *Młodość Juliusza Cezara* i dowiadujemy się, że p. Dygasiński zbiera materiały do Żywotów znakomitych ludzi w Polsce, które zamierza starannie wydać i portretami ozdobić. Popłoch niezmierny między księgarzami zrobił p. Gebethner, otwierając przed kilku dniami w Krakowie księgarnię na miejsce Jaworskiego; spodziewamy się, że p. Gebethner swojej księgarni w Krakowie nada ten sam charakter co w Warszawie; dla naszego miasta byłaby to korzyść prawdziwa. Spodziewamy się także, że nowa ta księgarnia zaopatrzy się we wszelkie nowe wydawnictwa nie tylko polskie, lecz także francuskie i niemieckie, dotąd bowiem każde choćby o Polsce mówiące, lecz za granicą wydane dzieło trzeba było pocztą sprowadzać, lub miesiąc czekać, zanim się je za pośrednictwem księgarni dostało.

Zaledwie skończyła się długa sprawa o *Dramat bez nazwy* z powodu którego *Szkice* dowcipnie nazwały pp. Koźmiana i Skrochowskiego największymi ludźmi w Polsce, gdyż prywatną swoją korespondencję z ulicy na ulicę drukiem ogłaszają, a tu wybucha nowa dziennikarska burza miotająca pioruny i grzmoty na autora *Filozofji dziejów Polski*, niestety! słusznie.

Czas, ten na łaskawym chlebie żyjący, zgrzybiały staruszek, przeczekawszy wszystkie burzliwe artykuły, wszystkie sprawiedliwe zarzuty, wystąpił ni z tem ni z owem; a my sądzimy, że zanadto honoru czynimy p. Walewskiemu zajmując się tak długo sprawą, oburzenia naszego nawet niegodną, gdyż smutną tę *Filozofję* powinniśmy raczej uważać za płód schorzałego umysłu. Oburzenie do tego stopnia już doszło, że ulicznicy krakowscy tak się niem przejęli, iż oto wczoraj korzystając z czujności nocnych straży, psotnik jakiś powiesił dwie lalki, jednę na rynku, drugą na plantach, a każda z nich trzymała w ręce egzemplarz *Filozofji* p. Walewskiego. Kosztowny ten żart, bo szacowne to dzieło kosztuje 3 guldeny — był dla ulicznika nie tylko pod względem finansowym lecz i moralnym bardzo nieprzyjemnym. Po poszlakach został odszukany i oddany w ręce sprawiedliwości... W ostatnich dniach sierpnia ulice zaczęły się roić, hotele napełniać, sklepy wszelkiego rodzaju ożywiać — zdawałoby się jakiemu przejezdnemu, że to sejm lub zjazd polskiej szlachty, a to tymczasem było proste rozpoczęcie szkół. Ruch taki trwa zwykle przez 10 dni, podczas których Kraków zupełnie zmienia fizjonomję. Gdzie rzucisz okiem, ujrzysz zafrasowanych rodziców z bardziej jeszcze smutnym synalkiem, krzątających się około wyprawy dla młodego podrostka. Wśród tych zastępów ojców matek i ciotek. siostr i kuzynek, krzątają się tylko posługacze, a jeszcze skrzętniej faktory i żydzi, chcący bezustannie mieniać ruble na guldeny. Każdy chce skorzystać z tego ruchu, każdy pragnie wyzyskać dobroduszność lub nieświadomość z pod ciemnej gwiazdy szlachcica. Fiakry nie znają innej drogi, jak do zakładów wychowawczych, krawcy robią tylko bluzy. a księgarze myślą jedynie o Wypisach polskich i Lesebuchach.

Na przywitanie tej młodzieży, którym jeszcze greka i łacina przyjemności wiejskich z głowy nie wybiła, odbyły się wczoraj dnia 5go b. m. wyścigi konne w Krakowie. Lecz niestety wyścigi te mało były podobne do wyścigów jakie się zwykle na świecie odbywają. Ułani z powodu koncentracji wojsk stojący w Krakowie chcieli zakończyć swój pobyt w naszem mieście wyścigami na własnych koniach. Myśl piękna, godna stanu żołnierskiego, a że się zupełnie nie udała nic dziwnego, bo zkądże konie ciężkie, wojskowe, nietresowane, nagle miały się stać wyścigowcami? Na kilka dni już przed wyścigami cieszyli się szczególnie wojskowi i z niecierpliwością oczekiwali tej niedzieli.

Miejsce wybrane było na Błoniach; przestrzeń ćwierćmilowa z przeszkodami była oznaczoną, na wzgórzu stały ławki dla wyższych wojskowych. a muzyka na dole. Przygotowano więc wszystko, komitet wyznaczył nagrody dość skromne, bo chodziło o popis, wszystkie więc nabyto za cenę 700 guldenów. Widzieliśmy różne żołnierskie przyrządy, jak n. p. piękne siodło, czaprak, munsztuk i t. p. Około godziny 4tej pomimo deszczu i pochmurnego powietrza tłumy wyległy na Błonie; dorożki, remizy, ekwipaże jenerałów, czterokonny pojazd arcyksięcia, piesi i jezdni dążyli w stronę Błoń. Ciekawość publiczności była natężoną; miejscy znawcy koni liczne robili uwagi, krytykując zły krok wierzchowców i zbyt wielką objętość niektórych ułanów, wreszcie drogę na ten cel wytknięta, która nie tworzyła areny, jakby być powinno, lecz prowadziła różnemi skrętami przez szosę, wzniesioną na wysokiej grobli. Nieszczęśliwe to urządzenie spowodowało zaraz w pierwszych wyścigach fatalny wypadek; koń się przewró-

cił, jeździec przez głowę mu przeleciał, a koń pozbawiwszy się ciężaru, omijając przeszkody i jak najkrótszą obierając drogę, za innemi do mety dążył, wzbudzając śmiech publiczności.

W pierwszych tych wyścigach, które zupełnie nawet pozoru wyścigów nie miały, wygrał pierwszą nagrodę koń ze stada hr. Tarnowskiego z Dzikowa. W drugich,—które pomimo rzęsistego deszczu jeszcze większy śmiech wzbudziły, bo jeden koń, pomimo gwałtownego oporu jeźdźca, skręcał do miasta, a dwa inne na tejże samej grobli sztuki gimnastyczne pokazywały, robiąc koziołki jeden przez drugiego — dwie nagrody otrzymał znany koń hr. Choryńskiego *Monarch*, który o dwie minuty wcześniej niż inne do mety dobiegł.

Tak się skończyły wielkie kursa Krakowskie, na które tydzień z niecierpliwością czekano, a które zapewne najlepiej opisze *Diabeł*, który przeszedłszy pod inną Redakcję, wcale się zrobił dowcipnym i to do tego stopnia, że pewien numer musiał być litografowanym, gdyż trwożliwi drukarze krakowscy współudziału w tej szatańskiej sprawie odmówili.

Tyle na teraz z Krakowa, lecz mamy nadzieję, że gdy chorzy zdrowymi z wód zagranicznych powrócą, więcej napiszemy.

W. L.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Dra Karola Benoniego: Krótki rys geografji i historji powszechnej dla niższych klas szkół średnich i wyższych klas szkół ludowych. Świat starożytny. We Lwowie 1875.

Po zaprowadzeniu języka polskiego w naszych szkołach jako wykładowego, rzucono się gorączkowo do tłumaczenia niemieckich książek szkolnych. Najwięcej młodzi nauczyciele, nie mający jeszcze należytego doświadczenia dydaktycznego, zajmowali się tą pracą. Tak powstały pierwsze nasze galicyjskie polskie podręczniki szkolne, gdyż gotowych już książek szkolnych w Królestwie i Poznańskiem używanych, dla odmiennego planu szkolnego używać nie mogli, a powiedzmy tu nawiasem, często dla względów materjalnych nie chcieli. Obecnie stosunki te poczynają zmieniać się na lepsze. Rok rocznie pedagogowie nasi obdarzają młodzież uczącą się oryginalnemi dziełami, którym zawsze winno się należeć pierwszeństwo przed tłumaczonemi. Młodzież nasza jest bądź co bądź inną, inaczej wychowaną, innego przeto wymaga pokarmu. Zasada ta szczególnie zastosowaną być powinna w nauczaniu historji. Który z nas naprzykład nie zna podręcznika Pütza, z którego prawie całe dzisiejsze pokolenie uczyło się historji! Takie suche i tabelaryczne przedstawienie dziejów mogło być dobre dla dzieci niemieckich, ale nie dla nas. Welter znowu wprost w przeciwną wpada ostateczność, a opisów geograficznych, tyle w nauce historji ważnych, wcale nie posiada. Lukę tę wypełnił powyższy podręcznik. Za zasługę poczytuje recenzent autorowi bardzo szczęśliwie przeprowadzone połączenie historji Wschodu z historją biblijną, z którego to połączenia oddzielnie dotąd traktowane dzieje Assyryjczyków, Babilończyków, Medów jakoteż Egipcjan i Fenicjan niejako wspólnie się rozwijają. Zasługuje nie mniej na uznanie takie połączenie z łatwo zrozumiałych względów moralno-religijnych i dydaktycznych, uczeń bowiem już przy początku nauki poczyna poruszać się na znanem mu polu. Greckiej i rzymskiej historji poświęcił autor dwie trzecie części książki. Bajeczne opowiadania znalazły u pana Benoniego należyte uwzględnienie. Bajecznem opowiadaniem bowiem rozpoczyna się historja prawie każdego narodu, w nich żyje niespożyty duch jego a np. opowieści o bajecznym Herkulesie i Tezeuszu powinne w książce przeznaczonej dla początkujących znaleść tak samo uwzględnienie, jak o historycznym Aleksandrze Wielkim. Tworzą one niejako furtę, przez którą nauczyciel wprowadza ucznia do nauki historji. Biograficzne rysy bohaterów starożytności są wiernie i odpowiednio młodocianemu umysłowi skreślone. — Wytknąć byśmy tu tylko mogli brak dramatycznego opowiadania, tak niezbędnego dla umysłów w wieku, w którym fantazja ma jeszcze przewagę przed rozumem, a rozum już się rozwijać zaczyna. Pod względem etnograficznego traktowania przedmiotu nie mamy autorowi nic do zarzucenia. Dzieje pojedynczych narodów są w ścisłem opowiadane związku, a że autor nie silił się na pragmatyczne uzasadnienia, uważa recenzent za myśl szczęśliwą — pragmatyka historji bowiem może być przedmiotem dopiero wyższej nauki. Książka p. Benoniego jest więc odpowiednią do nauki w naszych szkołach niższych, a kończąc nasze uwagi wyrażamy życzenie, aby autor w jak najkrótszym czasie obdarzył nas podobnym podręcznikiem dziejów średniowiecznych i nowoczesnych.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Donosiliśmy w swoim czasie, że nakładem Gabethnera i Wolffa, księgarzy warszawskich, wyjdzie *Marja* Malczewskiego, ilustrowana przez Andriollego. Ilustracji będzie ośm, każda objętości 320 cali kwadratowych, a przedstawiać będą następujące sceny: 1) Uczta. 2) Miecznik i Marja pod lipą. 3) Pożegnanie. 4) Bitwa. 5) Zapusty. 6) Przy zwłokach Marji. 7) Wacław na stepie. 8) Miecznik na grobie córki.

— W Warszawie zacznie wkrótce wychodzić nowe pismo ilustrowane. Może nowy ten współzawodnik zmusi dotychczasowe pisma, jak *Tygodnik* i *Kłosy*, że większą zwrócą uwagę na swoje ilustracje. Szczególnie *Kłosy* obdarzały nas w ostatnich czasach prawie samemi bohomazami.

— W Dorpacie niedawno ukazały się dwie rozprawy naukowe napisane po niemiecku przez Polaków w celu pozyskania stopnia dr. medecyny. Pan Antoni Jakowicki traktuje o wielce interesującem dziś lekarzy przelewaniu krwi cudzej do wycieńczonego organizmu; rozprawa jego nosi tytuł: „Zur physiologischen Wirkung der Bluttransfusion.“ Pan Justyn Zielonko napisał zaś rozprawę o chorobliwym rozroście serca, zatytułowaną: „Pathologisch-anatomische u. experimentelle Studien über Hypertrofie des Herzens.“

— „Kupno i sprzedaż“ komedja Jana Zacharjasiewicza, uwieńczona ostatnią nagrodą na konkursie krakowskim r. z. wyszła już w języku rossyjskim i stanowi piątą i ostatnią część pierwszej serji wydawnictwa pt. „Dzieła wyborowe polskich pisarzy dramatycznych.“ Powieść J. I. Kraszewskiego „Z siedmioletniej wojny“ wychodząca obecnie w *Bibljotece warszawskiej*, wychodzi współcześnie po rossyjsku w odcinku gazety *Rizskij Wiestnik*.

— Uroczystość 400 letnich urodzin Michała-Anioła Buonarottego, rozpoczęła się d. 12. bm. we Florencji bardzo okazale. Przypływ cudzoziemców był ogromny. Stan powietrza prześliczny. W jednym z następnych numerów umieścimy obszerne sprawozdanie z tej wspaniałej uroczystości.

— Lipska *Ilustracja* przyniosła w ostatnim numerze rysunek, przedstawiający uroczystość odsłonięcia na Grotenburgu, pod Detmold, pomnika *Hermana*, inaczej *Arminiusa*, który pogromił legjony Varusa. Pomnik jest dziełem rzeźbiarza Bandela, który nad nim całe życie strawił. Jest on dziś największym na świecie, ponieważ o 70 stóp przewyższa kolos św. Karola Boromeusza, stojący koło Arony nad Lago Maggiore.

Podróże i odkrycia.

— Kedyw egipski przez rozsyłanie coraz to nowych wypraw w rozmaite nieznane dotąd strony Afryki, niezmierne przysługi oddaje nauce, pomimo że czyniąc to ma tylko widoki polityczne na celu. Prasa całej Europy baczną zwraca uwagę na przebieg i powodzenie tych wypraw afrykańskich. Najnowszą z nich była wysłana do Darfuru, niedawno zdobytego przez Kedywa. Przewodniczył jej pułkownik Purdy, jeden z amerykańskich oficerów egipskiego generalnego sztabu. Dotarła ta wyprawa w głąb Darfura, aż do gór Medub. Kilku należących do niej oficerów czyniło poszukiwania na własną rękę. W okolicach El Tascher, stolicy Darfury, odkryto obfite kopalnie miedzi, ze wszystkich przebytych okolic zdjęto ścisłe mapy. Inną znowu wyprawę wysłał Kedyw do Kordofanu, pod przewodnictwem pułkownika Colstona. Udała się ona na poszukiwanie nieznanych jeszcze jezior, które głęboko na południu Kordofanu mają się znajdować. Przy tej wyprawie w charakterze badacza przyrody, znajduje się doktor Pfund z Aleksandrji, nadsyłający wciąż niezmiernie ciekawe botaniczne i zoologiczne zbiory.

— Britisch muzeum zbogacone zostało niedawno nadzwyczaj interesującym zbiorem zoologicznym. Składa się on ze szczątków słoni, nosorożców, jeleni, wołów itd. odnalezionych w przeciągu 30 lat ostatnich w Ilford-Marschen, niedaleko od Straffordu. Zbiór ten, który był dotychczas własnością prywatną, mieści w sobie 100 szczątków samych słoni. Najdłuższa trąba w zbiorze mierzy 9 stóp długości.

— W przeszłym tygodniu znaleziono na Kaszubach w Prusach Królewskich dwa groby pogańskie, w których urny dosyć dobrze się utrzymały. Był w nich, jak piszą do *Gazety Toruńskiej*, popiół i dużo kości, które brzęczą jak żelazo lub szkło. Dwie z nich bardzo wielkie. Ponieważ ręce niezgrabne i nie znające takich cennych skarbów przeszłości ich się dotknęły, dla tego większa część rozpadła się i tylko cztery jako tako uratowano. Jedna z nich zupełnie dobrze utrzymana, jakby rok tylko w ziemi stała. Oprócz tego skorupy różnych naczyń tam się znachodzą, niby to miseczki. Dno ich ma cal lub półtora w średnicy, u góry zaś 5—6 cali średnicy, o ile da się wnosić ze szczątka znalezionego w grobie. Urny większe zaś są wysokie 10—11 cali, a w średniej wypukłości mają 12 — do 13 cali w średnicy. Musi w górach przy Oksywiu bardzo dużo takich grobów się znajdować, bo chociaż już 50 — 60 w dawniejszych czasach znaleziono, dużo jeszcze jest miejsc gdzie ani orano, ani też nie ruszano ziemi. Wydobędzie się je, gdy kamienie tam kopać będą. Podług oznak bardzo wyraźnych znajdowały się na górach oksywskich nad morzem miejsca ofiarne, gdzie trupy palono, bo widać jeszcze wyraźnie zgliszcza w których poznać można, jak drzewo na stosach układano, i napotkać węgle, które zawiane piaskiem dobrze się utrzymały. Znaleziono tam również okrągłą łzawnicę, do której łzy płacone wpuszczali płaczkowie. Gdyby nasi archeolodzy, którzy nieraz z Krakowa aż do Gdańska się zapuszczają, kawałeczek dalej w Kaszuby się pofatygowali, nie pożałowaliby tych paru mil.

— Telegram z Sydney z d. 23. sierpnia przyniósł wiadomość, że kommodor Goodenough został zabity przez dzikich w Carlisle-Bay. Kommodor na wojennym okręcie Pearl pływał po wodach Oceanu Spokojnego i zamierzył zwidzić jednę z wysp tego oceanu zamieszkałą przez dzikich. Zatrzymał się w Carlisle Bay w archipelagu Santa-Cruz i wysiadł na ląd z kilku ludźmi załogi. Zaczął rozmawiać z krajowcami na migi, z zachowaniem wszelkich przyjętych przytem zwyczajów. Ze strony krajowców nic nie wróżyło nieprzyjaznego usposobienia. Po godzinie może kommodor z załogą zaczęli przygotowywać się do powrotu. W chwili, gdy kommodor miał siadać na łódź, ugodzonym został w lewy bok zatrutą strzałą, a w czasie przeprawy na okręt w takiż sam sposób jeszcze siedmiu ludzi zostało ranionych. Trzech z pomiędzy nich, a w ich liczbie i kommodor po kilku godzinach pomarli i nie było nadziei zachowania pozostałych przy życiu. Natychmiast po przywiezieniu rannych na okręt, oficerowie marynarki postanowiwszy surowo ukarać winnych, wysłali na ląd znaczny oddział zbrojnych. Wioskę zamieszkałą przez dzikich krajowców spalono i zrównano z ziemią. Ciało kommodora przewieziono do Sidney, gdzie pochowano je w d. 24. sierpnia.

— Ciekawe odkrycie archeologiczne zrobiono, jak pisze „Kijowski Telegraf“ w Kijowie. Przy kopaniu ziemi pod fundamenta domów, natrafiono na dawne cmentarzysko pogańskie, które, sądząc ze znacznej ilości szkieletów i obszaru, jaki zdaje się zajmować cały cmentarz, musiało przez długie wieki służyć za miejsce chowania zwłok zmarłych. Według opinji znawców, cmentarzysko to sięga bardzo dawnych przedhistorycznych czasów.

Wojskowość.

— Austrjackie ministerjum wojny doszło do porozumienia z cesarskim fabrykantem Kruppem, który żądał wynagrodzenia za modele dział z jego fabryki użyte do próby porównawczej z armatami Uchatiusa. Olbrzymie jego pretensje zredukowano do 150.000 zlr. które otrzyma wraz z użytemi modelami.

Nekrologja.

† Oskar Peschel, znakomity geograf niemiecki, autor niepospolitej wartości dzieła, *Die Völkerkunde*, umarł temi dniami w Lipsku.

ROZMAITOŚCI.

— W jednym z domów na przedmieściu Św. Antoniego w Paryżu, na piątem piętrze, mieszkała ładna,

młoda haftarka, Celestyna Dubois. Wedle ogólnej opinji sąsiadów nie była to zbyt pracowita robotnica; dochody jej pochodziły często z mniej czystych źródeł. Częstokroć obcy ludzie wchodzili i wychodzili od niej. Odźwierny domowy patrzał jednak na to przez szpary; pobłażliwość bowiem przynosiła mu nieraz piękny podarek od lokatorki piątego piętra. Pewnego poranku, odźwierna, której mąż także szewstwem się zajmował, przyniósłszy młodej dziewczynie parę naprawionych bucików, znalazła drzwi odchylone. Zapukała więc, a nie otrzymując odpowiedzi weszła do pokoju. Jakiż ją widok tam uderzył?! Z przerażenia omało nie omdlała. Celestyna Dubois leżała z przerzniętem gardłem. Krzyk odźwiernej ściągnął wszystkich sąsiadów; wkrótce zjawił się i komisarz policji i aż do przybycia sądu pokój zamknął i opieczętował. Po najściślejszem zbadaniu miejsca i osoby zmarłej, nie pozostała najmniejsza wątpliwość, iż popełnionem tu zostało morderstwo. Na piersiach zamordowanej znaleziono brzytwę skrwawioną, która widocznie była narzędziem zbrodni; ręce jej były zbroczone krwią, tak że na pierwszy rzut oka można było wpaść na myśl o samobójstwie. Ale przerznięcie gardła było za głębokie, ażeby dziewczyna sama je sobie zadać mogła: brzytwa przeszła aż do kości pacierzowej i poszczerbiła się o nią, dalej cięcie szło od prawej do lewej strony, nadewszystko zaś, skonstantował lekarz sądowy, że ręce zamordowanej umyślnie były poplamione; widocznie morderca tym sposobem chciał zatrzeć ślad swojej zbrodni. Okrom tego zmarła była całkiem obrabowaną. Brakło sumy 60 fr. w napoleonach, którą właśnie Celestyna po południu dnia poprzedniego pokazywała odźwiernej i jednemu z sąsiadów, mówiąc iż jest to jej zapas na czarną godzinę i że chowa go w starej pończosze, w materacu. W kilka już godzin po odkryciu zbrodni uwięziono człowieka, który zdał się być w najwyższym stopniu o nią podejrzanym. Był to w tym samym domu, na poddaszu zamieszkały robotnik ślusarski, człek żonaty, ojciec dwojga dzieci, dotąd nieposzlakowany, nazwiskiem Ferrand. Znajdował się on w bardzo złem położeniu, wskutek nieszczęśliwych okoliczności, i na dzień właśnie przed odkryciem zbrodni, wiadomo było wszystkim w domu, iż nie miał za co dla siebie i rodziny chleba kupić. Jemu to właśnie na korytarzu poprzedniego dnia w obecności odźwiernej pokazywała zamordowana owe zapasowe pieniądze. Odźwierna poświadczyła tę okoliczność i dodała jeszcze, iż właśnie na kilka chwil przedtem podarowała temu człowiekowi bardzo piękne jabłko dla jego dzieci. Otóż to jabłko, które Ferrand schował w kieszeń... znalazło się w pokoju zamordowanej; kawałek był tylko odkąszony. Dalej znaleziono przy rewizji u Ferranda sztukę dwudziestofrankową; drugą zaś podobną, jak się pokazało, zmieniał w dniu odkrycia zbrodni rano, u piekarza. Ferrand energicznie zaręczał że jest niewinnym. Zeznanie jego tak brzmiało: Rozmawiałem z Celestyną Dubois na korytarzu jeszcze po odejściu odźwiernej. Prosiła mnie o pożyczenie jej brzytwy, bo chce sobie wyciąć dokuczający jej nagniotek. Przyniosłem jej brzytwę z domu, wręczyłem ją jej i ośmieliłem się, ponieważ chwilowo tak źle stały moje interesa, prosić ją o pożyczkę. Celestyna była bardzo dobrotliwą istotą i znała mnie, jako uczciwego człowieka, pożyczyła mi więc dwa napoleony na ośm dni. Za procent żądała tylko żartobliwie, jabłka, które trzymałem w ręku; z uśmiechem dałem jej to jabłko. Myśl nawet morderstwa nie powstała w mojej głowie. Jestem niewinny!" Na to zeznanie sędzia śledczy potrząsł niedowierzająco głową i rozkazał ślusarza uwięzić. Wezwano jego żonę. Ona nie wiedziała o niczem: ani o pożyczce, ani o podarowaniu jabłka, ani o tem, że mąż jej pożyczył komuś brzytwy. Ferrand, którego o tę obciążającą okoliczność zapytano, objaśnił ją tem, iż żona była bardzo zazdrośna i nieraz go już napastowała, aby do tej zalotnicy Celestyny się nie zbliżał; dla tego więc nie wymienił jej źródła przyniesionych pieniędzy, ani wspomniał o brzytwie i innych szczegółach rozmowy z Celestyną. Żona Ferranda skamieniała z przerażenia dowiedziawszy się o co jej męża oskarżają. Bez namysłu pobiegła do dyrektora policji, padła mu do nóg i ze łzami jęła go zaklinać, aby ratował biednego niewinnego jej męża. Dyrektor uczuł się tem głęboko wzruszonym; chociaż więc nie wierzył w niewinność ślusarza, przywołał jednego z najzręczniejszych ajentów i polecił mu raz jeszcze tę sprawę gruntownie zbadać. Ajent, nazwiskiem Ballier, udał się przedewszystkiem na miejsce zbrodni i rozpatrzył się w najmniejszych drobnostkach znajdujących się w pokoju zamordowanej. Poczem sprowadził dentystę i polecił mu zdjąć jak najwierniejszy odcisk woskowy zębów zamordowanej. Odcisk ten wypełniono massą pewną i otrzymaną tym sposobem podobiznę zębów Celestyny Dubois starannie schowano; tak samo postąpiono z zębami Ferranda, a także jabłko, czyli ściślej mówiąc ślad ukąszenia na niem, poddany został tejże samej procedurze. Tegoż samego dnia okazało się jawnie, że ani Ferrand ani Dubois nie nadgryźli tego jabłka. Zęby ich nie przystawały do śladów pozostałych na jabłku. Człowiek, który je nadgryzł, miał na wpół wyłamany ząb, na lewo obok trzonowego. W ciągu wieczoru przebiegło dwudziestu przybranych ajentów najbardziej osławione szynkownie i lupanary tej części miasta, obserwując bacznie jedzących i pijących, czy kto z nich nie ma takiego składu zębów. Tejże samej nocy jeszcze przyprowadzono na prefekturę policji zbrodniarza wielokroć już karanego i zaproszono go uprzejmie, aby był łaskaw zęby w wosk zapuścić. Odcisk ich wpadł doskonale w ślady odkąszenia jabłka; wpół wyłamany ząb wystąpił jako cecha oskarżająca. Jak piorunem rażony, zbrodniarz przyznał się natychmiast do wszystkiego. Był to jeden z wielbicieli Celestyny, powiadomiony przypadkiem o jej zapasiku. Będąc bez grosza a pijany, żądał aby mu dała te pieniądze — a gdy mu z szyderczą miną odmówiła, w napadzie ślepej wściekłości wyrwawszy jej z rąk trzymaną brzytwę, jednem cięciem przerżnął jej gardło. Przy tem wypadło mu z rąk jabłko, które chwilą pierwej żartami odebrawszy jej nadkąsił. Zbrodnia nie opłaciła się nawet, w pończosze znalazł bowiem tylko jednego napoleona.

— Ze wszystkich łowów, wymagające niewątpliwie najwięcej zręczności odwagi, siły i krwi zimnej, są niewątpliwie łowy na hipopotamy we wnętrzu Afryki. Livingstone w ostatnich zapiskach swoich przedstawia jedno z takich polowań w bardzo żywy sposób. Wybiera się zwykle na nie pewna liczba myśliwców z dziada pradziada zwanych Mokombove. Łodzie ich, unoszące po dwóch ludzi, mają 18 do 20 stopni długości a tylko 18 cali szerokości i pół cala grube boki. W łodziach tych, poruszanych szerokiemi i długiemi wiosłami, podsuwają się myśliwcy do śpiących hipopotamów, bez najlżejszego plusnięcia. Zbliżywszy się do zdobyczy, jeden z łowców, harpunista, odkłada wiosło na bok i podnosi się powoli. I oto stoi wyprostowany, bez ruchu, z pociskiem w wyciągniętym nad głową ręku, czekając zupełnego zbliżenia się do zwierzęcia, aby je ugodzić w samo serce. Podczas tego natężonego i bacznego oczekiwania musi jak najstaranniej zachowywać równowagę. Towarzysz jego leży w łodzi gotowy do cofnięcia jej natychmiastowego w razie potrzeby. Napadnięte znienacka i ranione zwierzę rzadko odpowiada w pierwszej chwili obronnie wrogom swoim; najniebezpieczniejsza chwila przychodzi dopiero później. Zakrzywiony hak, czyli harpun, przymocowany jest do mocnej, długiej liny, owiniętej wokoło rękojeści. Gdy żelazo utkwi mocno w ciele zwierzęcia, lina się odwija, a drążek rękojeści pozostaje na powierzchni wody, unoszony przez nią. Myśliwcy chwytają za ten drążek i ciągną linę do siebie. Gdy uczują że natężenie jej nieco zwalnia, gotują się do rzucenia nowej harpuny, w chwili gdy olbrzymia paszcza hipopotama z przeraźliwem krząkaniem pojawi się nad wodą. W tem stadjum uderza częstokroć potwór na leciuchną łódkę, porywa ją i druzgoce w potężnych szczękach swoich, jak wiotki badyl, lub też rozbija jednem uderzeniem ciężkich swoich nóg tylnych. W takiem położeniu pozbawieni łodzi łowcy, zanurzają się zwykle natychmiast pod wodę i płyną w ten sposób do brzegu, podczas gdy ogłupiałe i wściekłe zwierzę napróżno wrogów swoich szuka w około siebie. Jeżeli zwierzę zostało ugodzone trafnie kilkoma harpunami naraz z różnych łodzi, wówczas załoga ich chwyta za rękojeści i ciągnąc linę ku sobie dosłownie rozrywa zwierzę żywcem po kawałku, aż wreszcie osłabione upływem krwi, zdechnie. Niebezpieczeństwo tych łowów powiększa jeszcze i ta okoliczność, iż jak tylko krew zbroczy wodę, natychmiast przywabione jej zapachem ściągają się ze wszech stron krokodyle, czyhając czy im przy tej sposobności coś schwycić się nie uda. Biada nurkom, jeżeli wyrzuceni z łodzi dostaną się w czujną tych rozbójników obławę. Jak widzimy tedy, żadne łowy, oprócz chyba indyjskich na tygrysy, groźniejszego nie przedstawiają niebezpieczeństwa. To też tylko z ojca na syna oswojeni z tem niebezpieczeństwem dzielni Makombove, poświęcają się temu zajęciu, które w razie powodzenia hojnie się opłaca, mięso bowiem i kły hipopotamów posiadają w handlu wielką wartość.

— „San Francisco Chronicle" opisuje w następujący sposób ceremonję pogrzebową w chińskim cyrkule miasta San Francisco: „W małej chińskiej uliczce wiodącej do Jockson-Street, mieliśmy niedawno następne, trwające 24 godzin, widowisko. Znana bardzo u nas stara chinka, utrzymująca zajazd nagle umarła. Mieszkające z nią razem Mongolskie dziewice zarządziły przez przyjaźń dla niej uroczystość pogrzebową. Na środku ulicy ustawiono długi stół, na którym położono pięć wielkich pieczonych świń, okrom wielu półmisków pełnych ryżu, ciast, bakały itp. darów przeznaczonych dla bóstwa chińskiego, przełożonego nad duszami umarłych dzieci państwa niebieskiego. Wokoło stołu rozścielono szerokie maty, na których przyklęknąwszy w białych szatach, przyjaciółki zmarłej kiwały się w osobliwy sposób. Stara czarownica jakaś zajmowała się paleniem kawałków gąbki i rozdzielaniem ich pomiędzy obecne kobiety, które rzucały je w leżące na stole gliniane naczynie. Kapłan chiński śpiewał przez całe rano i większą część po południu wyjący hymn jakiś, towarzysząc sobie przytem na dwóch cymbałkach. Na jednym końcu stołu znajdowała się trumna oblepiona czerwonym papierem, obmalowana w smoki i inne potwory i osypana kwiatami. Czuwali nad nią dwie chinki, wsparłszy się na łokciach, śmiejąc się i paplając. Po 24 godzinach takiej ceremonji włożono trumnę na wóz i zagrzebano ją wreszcie.

— O zatonięciu okrętu pancernego „Vanguard" w pobliżu zatoki Dublińskiej nadeszły szczegóły następujące: Pancerna eskadra rezerwowa, złożona z pięciu okrętów, a zostająca pod dowództwem wiceadmirała Sir Williama Tarleton wypłynęła w środę o 11 przed południem z portu Kingstown, zmierzając tem ku Queenstown. Około 1szej z południa mgła była tak gęsta, że okręty nie widziały się wzajemnie, i musiały przyspieszyć pędu, aby nie nastąpiło zetknięcie. Nagle okręt „Iron Duke" nie widząc swego towarzysza „Vanguarda" wpadł nań całą siłą pary, i dziób swój wbił mu w kadłub poniżej linji wodnej, robiąc wielki otwór. Gdyby okręt nie był tak znakomicie zbudowany, cała załoga byłaby pewnie utonęła. Na szczęście jednak utrzymał się on dość długo nad powierzchnią wody, i w ten sposób ludzie mogli się ocalić. Żaden nie zginął. W kilka minut po zabraniu ostatniego człowieka na pokład łodzi ratunkowej, „Vanguard" utonął. Na pokładzie miał on 10 dział ciężkiego wagomiaru i 3 czterdziesto funtowe armstrongi. Kosztował przeszło 5 miljonów guldenów. Rząd angielski postanowił go wydobyć z wody. Jeżeli to się uda, to „Vanguard" będzie z pewnością najdroższym okrętem floty angielskiej.

— Książę angielski Galles, otrzymał z Rossji ciekawy podarunek. W podróży swojej do Rossji, przy sposobności małżeństwa księcia Edymburgskiego, zabił on tam na polowaniu ogromnego niedźwiedzia. Teraz przysłano mu to zwierzę bardzo starannie wypchane. Niedźwiedź siedzi na tylnych łapach, trzymając w prawej świecznik o dwóch płomieniach, a w lewej miseczkę, na której leżą cygara i wszystkie przybory potrzebne przy paleniu. — Prawdziwie moskiewski podarunek, przypominający ich ojczyznę niedźwiedzią.

Treść Nr. 38.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).